



ODGŁOSY

„TEN PAN CO PO ANGIELSKU PISUJE...” — Jerzy Rzymowski ► CIEŃ W RAJU — Erich Maria Remarque ► AGONIA III RZESZY — z cyklu „Od pochodu na wschód — do ucieczki na zachód” ► PAMIĘTNIK ZNALEZIONY NA ŻUBARDZIU — Ewa Bekier ► Z PROFESOREM NA RYBY — Andrzej Sroczynski ► ŚMIERĆ W WERONIE — Konrad Frejdlach ► „PERLA ADRIATYKU SKAZANA NA ZAGŁADĘ?” — Jerzy Czech ► NA WSCHÓD OD ODRY — NA ZACHÓD OD ŁABY — Lucjusz Włodkowski ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ► RECENZJE ► FELIETONY ► LISTY ► REPORTAŻE ► POLEMIKI

EDWARD BRYL

CHRYZANTEMY ZŁOCISTE, BUTELKI I OBYCZAJE

1.

Lato, panowie! Biznes, panowie!

W sklepach gigantyczne kolejki po artykuły spożywcze. Rekordy popularności bije sklep monopolowy. Jeszcze godzinę po zamknięciu, w czasie, kiedy sprzedawcy nie sprząta, dobijają się klienci.

— Pani, tylko pół litra „Klubowej”.

I petent wyciąga rękę, daje 150 zł.

— Reszty nie trzeba, szefowa.

2.

Cała Polska na Wybrzeżu.

Wieczorami, jedyny lokal rozrywkowy z daniem trzeciej kategorii, „Albatros” pęka w szwach. Kto żyje, ciągnie na tańce. Potem długo, aż do świtu, słychać krzyki i śpiewy rozbawionych letników. Plaża też żyje nocą. Ludzie przyjeżdżają tu odpocząć, odetchnąć morskim powietrzem, zabawić się.

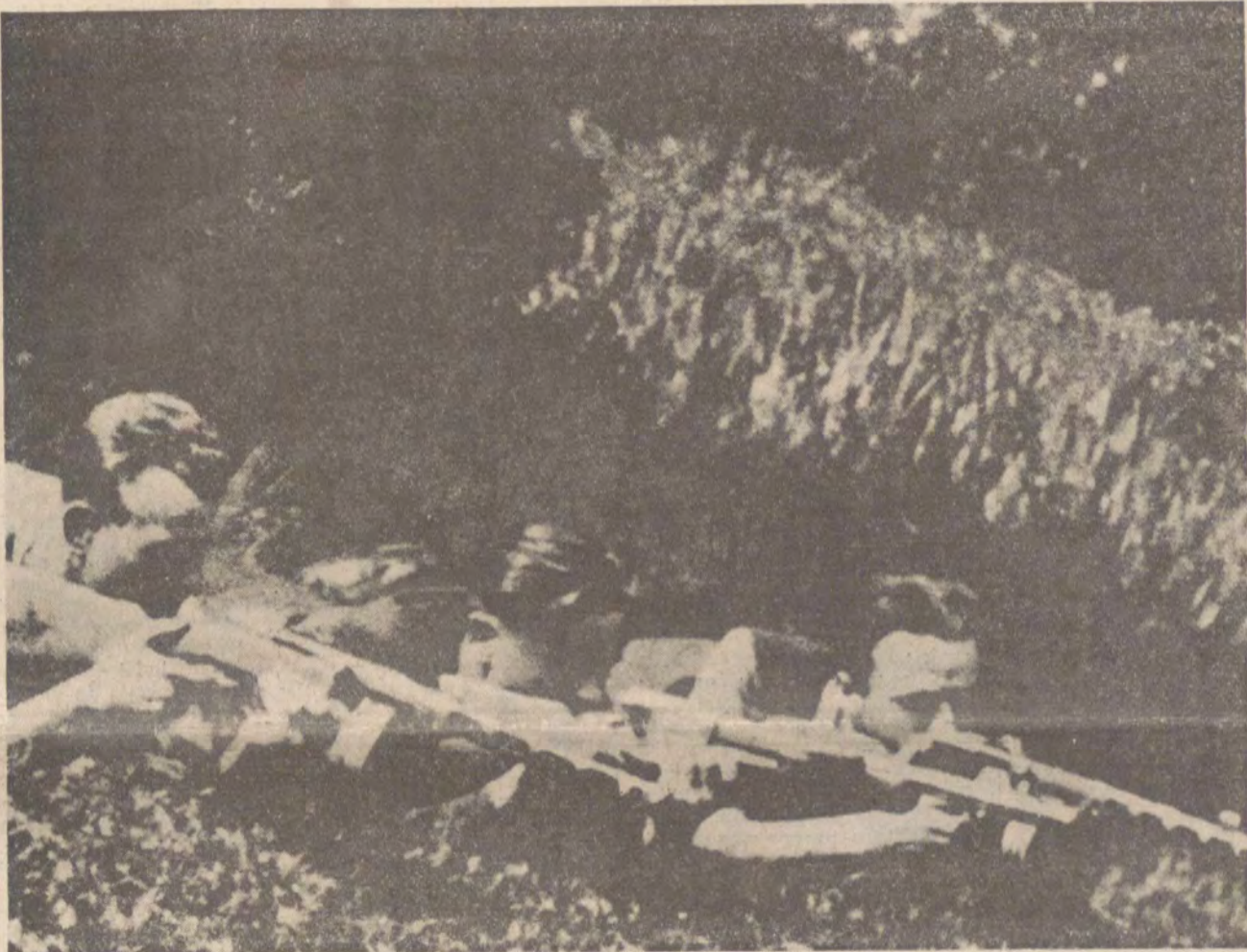
Opowiadał mi miejscowy komendant MO, że pewnego dnia został całkowicie zahamowany ruch na głównej arterii osady. Przyczyną tego była „zabawa” dużej grupy studentów z Poznania. Na środku drogi utworzono górę z bagaży, plecaków, toreb turystycznych, namiotów. Dookoła niej leżeli, ułożeni promiennie, tworząc malowniczą, kolorową gwiazdę. Zabawa trwała około godziny.

— Przedem nie dało rady ich rozgonić, jest nas tylko dwóch funkcjonariuszy w całej osadzie, a oni śmiali się nam w nos, kiedyśmy ich spisywali. Cały rok pracujemy — tłumaczyli — przyjechaliby tu solidnie wypocząć. Mamy prawo do zabawy, mocnej zabawy, lato przecież. Przyjechaliby z wielkiego miasta na prowincję i możemy się wypić na prowincjonalne obyczaje i na cały tutejszy savoir vivre.

3.

Z okna mojego pokoju widać solidny domek campingowy. Mieszkało w nim tzw. czasowe małżeństwo w „średnim” wieku: ona lat około 45, on — student II roku WSN. Na podwórku stał oryginalny „Wartburg”, który właścicielem służył za restaurację, sypialnię i salon gry. Pod werandą ustawiono stolik. „Wartburg” podjeżdżał tak blisko, aby dwaj gracze mogli grać przy

Dalszy ciąg na str. 6



KONKURS NA REPORTAŻ O ZIEMI ŁÓDZKIEJ

ŻYWOT CZERWONEGO STAROSTY (II NAGRODA)

Szukał słońca za gradową ciemurą, uciekał przed głodem, mocował się z lekkiem, bo i proch wciągał i zupełną wiezienną smakował, lecz zawsze, przetrucząc z ręki do ręki to okrucieństwo, to cień chmury gradowej, dawał zagubionym polskość i wiarę w sprawiedliwość chłopską, za co już po latach zbierał medale, a wcześniej czytał dyplomy uznania i pisane na niego wyroki; było za nim 75 lat życia, całe trzy ćwierćwiecza, które winny pozostawić niszczące piętno, przeto widziałem go szcherlącym, roztrzęsionym starcem, a tymczasem, kiedy sekretarz propagandy umawiał mnie z nim na spotkanie, posłyszalem w słuchawce głos jasny i silny, pozbawiony starczego drżenia...

Mówił, że najmłodszy syn mu się ożenił, syniło się dwoje dzieci, dał więc synowi zbudowany przez siebie domek, a on z żoną poszli na komorne; spokój mają, żyją wspomnieniami, ale trochę ciasno, przeto punkt kontaktowy wyznacza mi w Domu Nauczyciela przy Placu 3 Maja; wdrapywałem się na piętro, wchodziłem do salki klubowej, zasiadałem w głębokim fotelu pod ścianą i mocując się z pamięcią, uciekając do dygresji, wysupływałem nitką po nitce historię swojego życia.

W ciągu dwóch dni przegadałem z nim kilkanaście godzin zapisując w wyobraźni jego postać, krepę, niemal barczystą, trzymającą się prosto; twarz pełna, pozbawiona zmarszczek,

siwe włosy, równo przycięty szpakowaty wąsik, jasne oczy, wciąż ciekawe świata i, jakby nie chłopskie, białe, o krótkich palcach dłonie, które rozkładał z rozbrajającą bezradnością, kiedy w zakamarkach pamięci gubił jakiś epizod z przeszłości.

Przypadek telepatyczny na wstępie, bo patrząc w jego twarz, kojarzyłem jej rysy, kształt głowy, te rozsypane się na boki włosy z podobizną wielkiego poety, a on, ten siedzący przede mną, nagle powiedział:

— W moim domu bywał też Broniewski, wspominaliśmy legionowe czasy, prowadziłem go przez Radomsko, występował wtedy przed robotnikami, a podczas bankietu wykladał ważnej osobistości, jaki powinien być prawdziwy polski oficer; w te wieczory wspomnień popiło się też wódeczką, tak, tak, ja już teraz nie mogę, cukrzyca mnie męczy...

Trochę bronił się przed moim wścibstwem, bo przecież były o nim krótkie wzmianki w prasie lokalnej, w książkach „Nad górą Wartą i Pilicą”, „Ziemia Radomszczańska w walce”, on sam pisał coś nieścisłego o sobie w „Powstała w walce”, ale ja nie odstępowałem od zapamiętania przedstawienia reporterskim piórem postaci JÓZEFA SKUBISZA, przewodniczącego pierwszej w województwie łódzkim konspiracyjnej Powiatowej Rady Narodowej w Radomsku, albowiem tamte dni dały prze-

cięż owoce socjalistycznej teraźniejszości.

Lata pierwsze, mgliste, nakładające się i rozplywające obrazy dzieciństwa, wędrującej z organkami młodości.

— Z chłopów jestem, lecz kawalek ziemi trafił się później, najpierw ojciec z matką robili w dworze. W chałupie sześciorgo dzieci, mnie z siostrą wychowywali dziadkowie, we wsi cztery kilometry od Tarnobrzeg, gdzie skończyłem powszechniak, szkołę wydziałową i seminarium nauczycielskie, ale po masie to nie szło, bo w każde wakacje szedłem na murarkę albo do dworu, a na co dzień nosiłem do wsi gazety i pocztę, za co ludzie dawali grosiki, co łaska.

W czwartej wsi, mieszkał Witos, wciągał do ruchu ludowego, już w seminarium wydawałem z kolegami „Głos Ludu”; na kazania nie chodziłem, ksiądz zajeżdżał bryczką pod dom i krzyczał, że matka heretyka hoduje, matka chwytła wiadro i lala wodę na księżą głowę, ojciec był w tym czasie na wojnie; a ja z jednym z profesorów, prezesem spółdzielni jęczmieniowej, wędrowałem po wsiach, przysługując w marszu na organkach, i zakładałem nowe spółdzielnie aby zlikwidować handel żydowski karczmarzy.

Dalszy ciąg na str. 6

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

NA ZACHÓD OD ODRY — NA WSCHÓD OD ŁABY

(Korespondencja z NRD)

Jesteśmy wszyscy dokładnie przekonani, że świat jest mały i góra z górą się nie spotka, a człowiek z człowiekiem — zawsze. Na peronie dworca Dresden-Neustadt spotykam nagle mieszkankę Piotrkowa Trybunalskiego, z którym miałem przyjemność kiedyś razem pracować, a który odwozi właśnie do kraju ekipę młodych kolarzy z województwa łódzkiego. Okazuje się, że startowali w wyścigu na górskich terenach okręgu Karl-Marx-Stadt, w doborowej stawce czołowych kolarzy NRD i nie zajęli najgorszych miejsc.

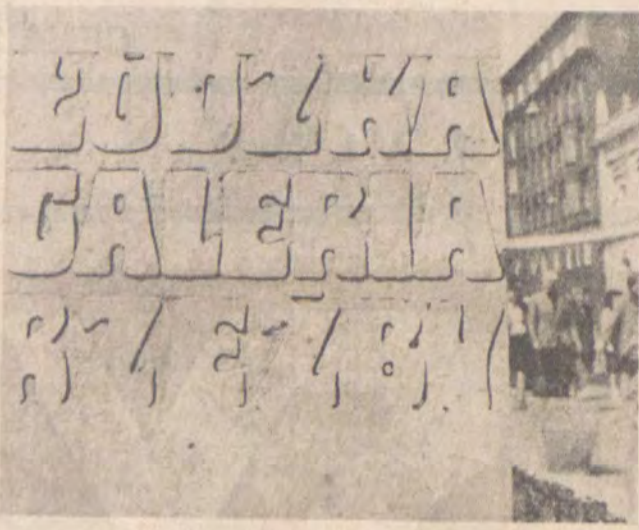
Miałem już kiedyś i takie zdarzenie, że w Kiniesznie nad Wołągą spotkałem nagle w recepcji hotelu dyrektora ZPB im. J. Marchlewskiego z Łodzi, który zupełnie logicznie zapytał:

— To nie mógł pan przyjechać do mnie na ulicę Ogródową, żeby porozmawiać, tylko tu mnie pan dopiero dopadł?

Obecnie bardzo łatwo spotkać kogoś znanego w NRD, bo przejazd granicy państwowej PRL w Zgorzelcu czy Kunowicach nie przedstawia żadnego problemu. Wystarczy mieć odpowiednią pieczęć w dowodzie i 100 marek wpisanych do książeczki walutowej. Jadą więc rodacy do NRD, a najwięcej z czwartku na piątek, bo w sobotę sklepy są tam nieczynne, a nasz rodak — wiadomo — w obcym kraju przedkłada walory, handlowe nad turystyczne. Poza tym do Berlina czy Dreznę nie jest daleko i można wyjechać wieczorem, ohandlować przez dzień i wrócić w nocy. Podróż jest krótka, męcząca ale widać niektórym daje swoiste zadowolenie.

DYGRESJA. Po triumfalnym pochodzie naszych piłkarzy przez Mistrzostwa Świata w piłce nożnej wiele osób lansowało i lansuje nadal tezę, że sukces piłkarzy przyczynił się do spopularyzowania Polski w świecie. Ale sceptycy zgłaszają słuszne wątpliwości, twierdząc, że my nadal niewiele wiemy o Haiti, nad którą to drużyną odnieśliśmy miłą zwycięstwo, a wielu Polaków nadal nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, gdzie leży Zair mimo, że drużyna tego państwa też sporo zamieszania uczyniła w piłkar-

Dalszy ciąg na str. 5



KRONIKA PLASTYCZNA

Jury Konkursu przyznało następujące nagrody i wyróżnienia w Konkursie na Grafikę i Rysunek Łódzkiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków.

W dziale grafiki:
I nagroda — Jerzy Leszek Stanecki za pracę „Wielobarwny pejzaż” (autofotolitografia)
II nagroda — Andrzej Gierga za pracę „Erozja pozytywna” (litografia)

Dwie III nagrody otrzymali: Antoni Starewski za pracę bez tytułu (technika mieszaną), Jan Hrycek za pracę „Wielka cisza” (linoryt barwny).

Wyróżnienia w dziale grafiki otrzymali: Henryk Płociennik, Andrzej Nawrot, Witold Kaliński, Jerzy L. Stanecki, Bożena Widaj.

Nagrodę ufundowaną przez Biuro Wystaw Artystycznych w

Łodzi przyznał Jerzy L. Stanecki za pracę „Tyżbe” (akwaforta, akwatinta, miękkie werniks).

W dziale rysunku nagrody przyznał:

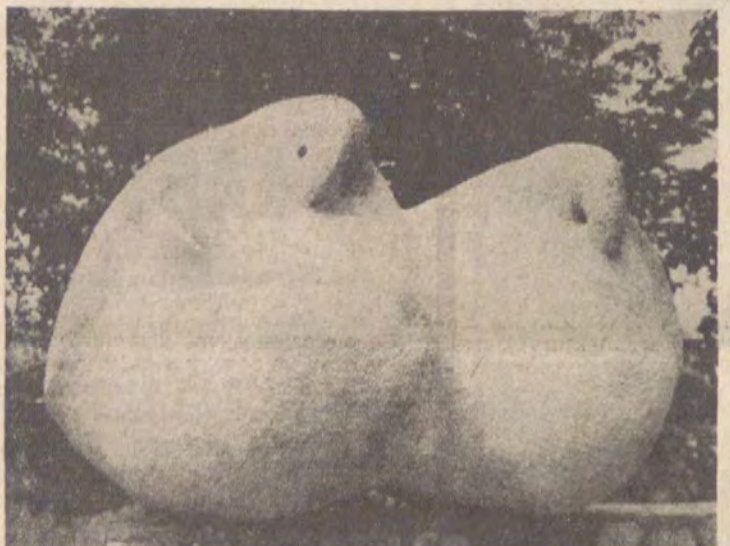
I — Norbert Hans za pracę „Kolekcjoner” (rysunek piórkiem)

II — Ryszard Popow za pracę „Do przyszłości” (rysunek ołówkiem)

III — Jan Hrycek za pracę „Ikar 74” (rysunek ołówkiem)

Wyróżnienia otrzymali: Andrzej A. Sadowski, Zbigniew Wierzbowski, Andrzej Gierga, Janusz Iwaniuk, Bogumil Łukaszewski.

Na konkurs wpłynęło 225 prac w tym 70 w dziale grafiki i 155 w dziale rysunku. Na wystawę pokonkursową zakwalifikowane zostały 73 prace.



Michał Galkiewicz — GOŁĘBIE

Fot: W. Parys

Δ SPOŁECZNY KOMITET AUTOSTOP w Warszawie rozsyłał do redakcji pism krajowych list, w którym informuje, że w tym roku mimo deszczowego lata po polskich drogach wędruje z książeczkami „Autostop” blisko 300 tys. osób. Największym powodzeniem — jak donosi Społeczny Komitet Autostop — cieszą się rejon Tatr, Bieszczadów i województwa szczecińskiego. W tym roku autostopowicze nie pozerają już kilometrów, jak to dawniej bywało, a bardziej od przyjemności samego wędrowania cenią przyjemność podziwiania krajobrazów. Wśród naszych autostopowiczów podróżuje po kraju wielu cudzoziemców z NRD, Węgier, Holandii, Francji, USA, Anglii a nawet z Australii. Są to oczywiście studenci.

Społeczny Komitet Autostop zorganizował w tym roku — podobnie zresztą jak i w poprzednich — wiele atrakcyjnych zlotów i innych autostopowych imprez. Cieszą się one powodzeniem u autostopowiczów. Zorganizowano również konkursy dla kierowców i gospodarzy, którzy chętnie nocują na wsi autostopowiczów. Społeczny Komitet Autostop „**APEL DO WSZYSTKICH. PODRUCHOWYCH PO POLSCE Z KSIĄŻECZKA „AUTOSTOP”. ABY PRZEŻYWAĆ NA WSI. POMAGAĆ ROLNIKOM W TRUDNYCH TEGOROCZNYCH ŻNIWACH!**”

A LUDZIE, PISZCIE PAMIĘTNIKI! Zachęcamy już nie tylko dlatego, że w ten sposób powstają dokumenty naszej przeszłości, ale również dlatego, że **CENTRUM PAMIĘTNIKARSTWA POLSKIEGO** ogłosiło konkurs na pamiętniki ludzi pracy z różnych środowisk. Konkurs trwa do 31 maja 1975 roku. Do tego terminu można nadsyłać prace na adres: **CENTRUM PAMIĘTNIKARSTWA POLSKIEGO**, (Instytut Pamięci Narodowej), ul. NOWY ŚWIAT 18/20, I piętro, 00-935 WARSZAWA. Organizatorzy zobowiązują się rozstrzygnąć konkurs do końca 1975 roku.

A oto nagrody: pierwsza — 20 tys. zł, dwie drugie po 10 tys. zł, cztery trzecie po 5 tys. zł i 20 wyróżnień po tysiąc złotych. Organizatorzy nie stawiają ścisłych warunków pamiętnikarom. Uważają jednak, że „byłoby dobrze, żeby składały się one (pamiętniki oczywiście — przyp. NIO) jak gdyby z trzech części:

1) krótkiej kilkunasturowej prezentacji siebie, rodziny i środowiska — połączonej z życiorysem własnym;

2) dziennika właściwego — czyli codziennie lub co kilka dni czynionych zapisów kronikarskich o pracy zawodowej, czynnościach domowych, kontaktach z ludźmi i światem oraz towarzyszących temu opiniach i sądach;

3) refleksji obywatelskiej nad przeszłością i teraźniejszością oraz przyszłością w perspektywie 10—20 lat i więcej w płaszczy-

źnie życia własnego, rodziny, zakładu pracy, miejscowości, regionu, kraju i świata.”

A więc życzymy wszystkim pamiętnikarzom i kronikarzom powodzenia, przypominając jednocześnie, że ich prace mają złożyć się na „**KRONIKĘ POLSKI LUDOWEJ**”.

Δ LATO mamy w kalendarzu, zaczyna się okres „ogórków” i choć pogoda wyraźnie zdaje się przeczyć kalendarzowi, to ludzie mu wierzą. Uwierzyła kalendarzowi i trzem panom pewna „słomiana wdówka” z Łodzi. Nim pociąg zniknął w siniej mgłę, uwożąc „męża kochasia”, żona postanowiła zainaugurować swoje wakacje. W kawiarni poznała trzech panów i zaprosiła ich na wino do domu. Panowie chętnie skorzystali z zaproszenia, pomagali robić kanapki, wino wypili, z paniami miło się bawili, a kiedy zniknęli z domu, zniknął również mężowski zekarek. W dodatku złoty, ze złotą bransoletą. Wartość: 40 tys. zł.

Na szczęście dzielna łódzka milicja znalazła owoch trzech panów, mimo, że nie miała żadnych śladów, bo „słomiana wdówka” nie pamiętała nawet imion owoch panów. Milicja znalazła również — na szczęście dla pani — mężowski zegarek.

Dyskretna cała ta inaustracja wakacji w Łodzi zapewni-

opisała dokumentnie, acz nie bez ironii i złośliwości szacowna wielce „Polityka”, która na ten bal wysłała „specjalnego korespondenta”, podpisującego się skromnie literkami „J. W.”, ale który jest autentycznym absolwentem LO im. Rejtana. Pod tym względem przynajmniej wszystko jest w porządku.

Δ NASTAL DOBRY CZAS DLA LEKKICH KONSTRUKCJI STALOWYCH I ALUMINIOWYCH. Sam tylko „Mostostal”, który obecnie wytwarza około 156 tys. ton konstrukcji stalowych dla budownictwa będzie musiał do 1980 roku wytwarzać 745 tys. ton. Podobnie ma wzrosnąć produkcja konstrukcji aluminiowych z 800 ton do 5 tys. ton.

Aby osiągnąć te zamierzenia uruchamia się nowe wytwórnie lekkich konstrukcji. Powstały takie wytwórnie w Słupcy i Chojnicach, dalsze są w budowie. Część ich produkcji przeznaczy się na lekkie pawilony handlowo-usługowe.

Δ W WARSZAWIE powstał Klub Robotników Piszących. Przy katowickich „Pogłądach” działa grupa robotników piszących, którą kieruje Jan Pierzchała. Podobnej formy działania szukają robotnicy Poznania. Ruch twórczy wśród robotników szeroko rozwijany jest w NRD, a w ZSRR ukazują się obecnie reportaże, kroniki i wspomnienia pisane przez robotników i kolechozników.

Warszawski Klub Robotników Piszących zrodził się w wyniku konkursu na pamiętniki robotników Warszawy. W Polsce szeroko rozwijany jest ruch pisania pamiętników przez robotników i chłopów. Tradycja ta pochodzi jeszcze z okresu przedwojennego, kiedy to publikowano słynne i po dziś „Pamiętniki chłopów”, „Pamiętniki emigrantów”, a Jakub Wojciechowski, autor słynnego „**ŻYCIORYSU WŁASNEGO ROBOTNIKA**” otrzymał Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury i przez Tadeusza Bova-Zeleńskiego nazwany był „**klasikiem w robotniczej bluzie**”.

Warszawski Klub Robotników piszących zrodził się też z potrzeby służenia radą i pomocą robotnikom piszącym, a są wśród nich nie tylko tacy, którzy pisują pamiętniki i kroniki swego zakładu pracy, ale i tacy, którzy próbują swych sił w reportażu czy opowiadaniu z życia ludzi pracy. Są i tacy, którzy pisują do prasy zakładowej i innych gazet i czasosm.

Δ „PARYSKA TAKSÓWKA” — nowy serial francuski emitowany przez Polską Telewizję, poza opowieścią o losach sympatycznej Iwonki przynosi również pewne pocieszenie. Okazuje się, że w Paryżu też są trudności ze złapaniem wolnej taksówki, bo albo właśnie zjeżdża do bazy, albo czeka na pasażera, który gdzieś wyszedł na chwilę. Pod tym względem Łódź nie ustępuje stolicy Francji. A to już coś.

POŻEGNANIE Z RASZYNEM

30 lipca 1974 roku — po 43 latach pracy — przestała działać radiostacja w Raszynie. Była ona swego czasu wielką nowością, dysponowała najsilniejszym wówczas nadajnikiem, o mocy 120 kW.

30 lipca 1974 roku rozpoczęła pracę nowa radiostacja — **Radiofoniczne Centrum Nadawcze w Konstancynie koło Gąbina**. I znów mamy rekord radiofoniczny. Maszt anteny nadawczej liczy 648 metrów i jest w tej chwili najwyższy na świecie. A nadajnik RCN ma moc 2000 kW. Dzięki temu „Warszawa I” stała się najsilniejszą radiostacją na falach długich. Jej program jest bez przeszkód odbierany nie tylko w całym kraju, ale i w wielu innych krajach europejskich. Z Raszyna program pierwszy odbierany był tylko na 75 proc. terytorium Polski.

Uruchomienie RCN w Konstancynie koło Gąbina pozwoliło przypomnieć historię najwyższych budowli na świecie.

Około 2850 roku przed naszą erą powstała piramida Cheopsa, która miała wysokość wynoszącą 146 metrów.

Rok 1880 — wieża katedry w Kolonii — 156 metrów.

Rok 1889 — Wieża Eifla w Paryżu — 300,5 metra.

Rok 1963 — maszt telewizyjny w Fargo w USA — 628 m.

Rok 1967 — wieża telewizyjna w Ostankino w ZSRR — 532 m.

Rok 1974 — maszt RCN w Konstancynie koło Gąbina — 646 metrów.

Raszyn jednak nie odchodzi na „emeryturę”. Radiostacja w Raszynie będzie rezerwą dla programu pierwszego, a także będzie nadal emitowała program na UKF. Objęcie całego terenu kraju programem radiowym emitowanym z RCN w Konstancynie pozwoliło zastąpić retransmisji tego programu na UKF i dzięki temu powstaje możliwość uruchomienia jeszcze jednego programu Polskiego Radia na falach ultrakrótkich.

M. R.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Odgłosów” przy fragmencie poematu „Wczorajszemu” pominięto nazwisko autora: **TADEUSZ GAJCZYC**.

Czytelników serdecznie przepraszamy.

GRUBA KSIĄŻKA

Kto z ludzi parających się piórem, nie odczuwa czasem odrobiny zazdrości w stosunku do autora, który ogłosił właśnie grubą, imponującą rozmiarem książkę? Takim to dobrze — myśli — wprawdzie sporo się namacha, ale i zapale niezgorzej (stawki autorskie nie są u nas objęte tajemnicą), a w dodatku ma na swym autorskim koncie jeszcze jedną, poważną pozycję. Często jednak zazdrość umyka szybko, niż nadeszła, a to w miarę zagłębienia się w lekturę opasłego tomu, w miarę jak zaciekawienie ustępuje miejsca rozczarowaniu.

Sądzę, że nie ja jeden rozczarowałem się po przeczytaniu nowej książki Longina Pastusiaka „Pół wieku dyplomacji amerykańskiej 1898-1945” (PWN, 1974). Relacja o dziejach politycznych, podzielona na 34 rozdziały, ujęta wedle chronologicznego następstwa zdarzeń, jest na pewno kompetentna. Ale przecież od tego rodzaju książki można by wymagać czegoś więcej, jak tylko dostarczenia czytelnikowi sumy informacji. Nie tylko na zachodzie istnieje wszak analogiczny rodzaj publikacji, tylko znacznie ciekawszych. Jeżeli tego rodzaju książkę pisze dziennikarz — specjalista od spraw międzynarodowych, często wieloletni komentator polityczny jakiegoś periodyku czy rozgłośni radiowa — telewizyjna, wówczas przynosi ona coś więcej, ponad suchy, bezemocjonalny zapis zdarzeń: relacja o tym, co się kiedy zdarzyło, spleciona zostaje z opi-

sem dziennikarskim stawianiem się zjawisk, całość zaś staje się obrazowym przedstawieniem spraw, o których najczęściej i tak wiemy, tylko nie tyle, ile nie w ten sposób. Jeżeli taką książkę pisze uczonego — politologa, historyka czy ekonomista, profesjonalista w swoim fachu, wówczas sięga do materiałów ukrytych w tych bądź innych archiwach, do zbiorów prywatnych, świadectw żyjących i zmarłych uczestników wydarzeń, stara się o wzbogacenie wiedzy o nowe elementy, niejednokrotnie pozwalające na nową interpretację znanych skądinąd zjawisk. Nieraz też spotykamy się z dziełami, będącymi jakby krzyżówkami obu rodzajów publikacji: w każdym jednak razie nie jest ich celem powtórzenie raz jeszcze tego wszystkiego, co już ogólnie wiadomo. To ostatnie jest uzasadnione tylko wówczas, kiedy piszemy skrypty wykładów czy podręcznik o określonym przeznaczeniu dydaktycznym dla takiego bądź innego adresata. Książka L. Pastusiaka zdaje mi się właśnie czymś w rodzaju skryptu lub podręcznika, niestety nieczym więcej. I to pracy opartej na znanych i nieraz już wykorzystywanych źródłach oraz opracowaniach. Na wstępie autor powiada, że dla zwiększenia „czytelności” swego dzieła unikał przedładowania go przypisami i zakładał, że zainteresowany czytelnik „zawsze zada sobie trud szperania w dziełach specjalistycznych, a nawet w archiwach”. Już widzę tego polskiego, niewątpliwie zainteresowanego czytelnika, który po przeczytaniu książki L. Pastusiaka podąża do Stanów Zjednoczonych, aby zapoznać się z archiwami Departamentu Stanu dotyczące-

ymi choćby tylko amerykańskiej polityki w stosunku do Polski w okresie II Wojny Światowej. Natomiast czego nie widzę, i to nie do strzeżenia zupełnie, to jest własnych, L. Pastusiaka poszukiwań archiwalnych, do których nakłania on swego czytelnika, nie tylko zresztą w zbiorach amerykańskich. Nie przedłożenie tekstu przypisami, co zostało zrealizowane konsekwentnie, potoczność narażonej, która trzeba przyznać autorowi, to jeszcze nie wszystko, czego można by się spodziewać po tego rodzaju książce, liczącej sobie 34 i pół arkusza wydawniczego.

Autor powiada, że „aby sprostać oczekiwaniom zainteresowanych polskiego czytelnika” wyciął do tekstu „trzy rozdziały, traktujące o stosunkach polsko-amerykańskich”. Decyzja najsluszniejsza, w wyniku której w książce znalazły się następujące rozdziały: X „Stany Zjednoczone a sprawa polska na konferencji paryskiej”, XIX „Stosunki polsko-amerykańskie w okresie międzywojennym”, oraz XXXIII „Sprawy polskie w amerykańskiej dyplomacji II Wojny Światowej”. Drugi z nich jest jedyną częścią pracy, w której autor powołuje się na nie publikowane dokumenty archiwalne, pochodzące jednak nie z Waszyngtonu, ale z Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Nasuwa się w związku z tym pytanie: jeżeli miało się nowego materiału tyle, aby napisać interesujący rozdział, liczący sobie nieco ponad 20 stron, czy koniecznie należało dopisywać doń pozostałe trzydzieści parę rozdziałów, by całość urosła do ponad 460 stron druku? Ponadto: jeżeli sięgamy do archiwów, do polskich mate-

riałów dyplomatycznych odnoszących się do stosunków polsko-amerykańskich w okresie międzywojennym, nie szkodziłoby wiedzieć, że na łamach zachodnich periodyków ogłaszane są od pewnego czasu analogiczne materiały amerykańskie, raporty i sprawozdania amerykańskich przedstawicieli dyplomatycznych w Warszawie. Publikuje je i omawia uczony polski go pochodzenia Z. Gasiński, w pracy L. Pastusiaka nawet nie zauważony. Prace te są dostępne w każdej większej bibliotece, omawiane były na łamach prasy polskiej, sam kiedyś o jednym z artykułów amerykańskiego autora pisałem w „Odgłosach”, nie rozszekał sobie pretensji ani do naukowości, ani kompetencji w tych sprawach.

Powie ktoś, że jestem specjalnie uprzedzony do książki L. Pastusiaka. Tak, to prawda, ale nie moja to wina. Gdyby rzecz ta ukazała się jako skrypty wykładów, nie zgłaszałbym tych zastrzeżeń, gdyby wydano ją jako publikację popularystyczną, witałbym ją na pewno z większym entuzjazmem. Ale rzecz ukazała się w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, a więc winniśmy na nią spojrzać jako na pracę naukową. Natomiast nauka, to coś zgoła innego, niż powtarzanie raz jeszcze spraw znanych i niekwestionowanych. Nawet, jeżeli są one interesujące i ważne. Dlatego odnoszę się z rezerwą do tej książki i jej podobnych.

LEKTOR

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIK, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Pół wieku temu, trzeciego sierpnia 1924 roku, zmarł w Oswaldzie, w Wielkiej Brytanii, Józef Teodor Konrad Korzeniowski (ur. w 1857 r.), jeden z klasyków nowoczesnej literatury, znany na całym świecie pod nazwiskiem Josepha Conrada.

Gdyby w kalendarzu szukać takich okazji dla szczególnego w roku bieżącym zainteresowania Conradem, wskazać by można jeszcze było na lata: 1874, 1894, 1914. Sto lat mija bowiem od wyjazdu przyszłego pisarza z Polski, osiemdziesiąt od ukończenia przezeń pierwszej powieści („Szaleństwo Almayera”) sześćdziesiąt zaś od ostatniej wizyty w kraju. Pogrzeb byłby w błędzie, kto by mniemał, że powołanie się na „okrągłą” datę — zabieg w istocie czysto konwencjonalny — nie ma poważniejszego znaczenia w kulturze, poza rytualnym regulowaniem pamięci o dziejach minionych. Nie sposób koncentrować uwagi i wysiłków umysłowych na całej spuściźnie przeszłości — rocznie wprowadzają tu pewien porządek. Poza wyjątkowymi faktami z najnowszej historii narodu, wywołanymi z przeszłości co dwa tysiące miesięcy, naprawdę liczy się tylko taki upływ lat, który da się podzielić przez dziesięć. Nawet trzeciorzędni twórcy mają w takich razach szansę na okresową zwykłą ocenę, odświeżony ton i... reedycje. Ale i tym wybitnym rocznice są potrzebne, bo zawsze wówczas łatwiej o środki na różne deficytowe przedsięwzięcia, którymi stoi humanistyka. Pozycja Conrada w roku 1974 jest — choć może się to wydać śmieszne — inna niż np. w r. 1970, w którym trudno byłoby coś dla konkrystalnego w rytmie dziesięcioleci wyliczyć.

Wspomniana praktyka wytworzyła w życiu kulturalnym szereg obyczajów o charakterze obrzędowym, co zresztą nie określa jeszcze rzeczywistej wartości poczyniań okolicznościowych, choć ryzyko odświętniej przesyady, przyozdabiającej jubileusz girlandami frazesów, jest o takiej porze wyjątkowo duże. Wśród wielu elementów ceremoniału rocznicowego warto jednak zwrócić szczególną uwagę na silnie odczuwaną — nie zawsze autentyczną, ale nie zawsze też urojoną — potrzebę ustalenia stosunku współczesnych do danego zjawiska czy faktu historycznego.

Wokół „okrągłych” dat w historii literatury zawsze spora tzw. przewartościowa i obrachunkowa, niezadko zresztą dokonywanych wedle ustalonej receptury, wymagającej postawienia określonych pytań, z nieśmiertelną kwestią na czele: „żywy dziś” czy „martwy?”, i z równie z góry oczywistą odpowiedzią, że „żywy”, ewentualnie: „niesłusznie zapomniany”, czy w najbardziej już beznadziejnym dla kulturalnej reanimacji stanie: „ciekawym”, „znamiennym”, „początkującym”. Na tych to utartych szlakach obrachunkowych dyżuruje oczywiście zawsze jakiś advocatus diaboli, który poświęca się dla dobra sprawy, głosząc herezję, czyli oryginalne sądy, polegające najczęściej na postępowaniu uznanej wielkości, co ze względów organizacyjnych potrzebne jest podczas wymiany poglądów.

Los taki nie ominie w tym sezonie dzieła Conrada. Podczas niedawnej dyskusji telewizyjnej o twórczości najślawniejszego z Korzeniowskich, „poświęcił się” Wacław Sądowski, zarzucając Conradowi anachroniczne pustosłowie moralizatorskie, co ułatwił Zdzisławowi Najderowi, ledaż polski conradolog, przypomnienie podstawowych nurtów ulubionego pisarstwa, a co za tym idzie, zalecenie pewnych lektur do ponownego przerebobienia.

Przytoczona powyżej wypowiedź krytyczna o charakterze pirotechnicznym — wątpliwe oczywiście wypadła, czy naprawdę oparta na nieznanym do rzeczywiście rozpowszechnionych wyobrażeń o twórczości autora „Nostromo”. Nie chodzi tu tylko o zjawisko utrzymywania się w świadomości kulturalnej popollitych, a szablonowo uproszczonych sądów, ale o postawę, którą nazwać można szkodliwym myśleniem na temat Conrada, legitymującą się zarówno popularnymi przeświadczeniami szerokiej publiczności, jak i poważnymi tradycjami badań naukowych, prowadzonych w ciągu kilku dziesięcioleci.

Skonstruowany w ich wyniku i następnie poprzez rozpowszechnianie zbanalizowany wizerunek Conrada ukazuje go jako niezłomnego głosiela heroicznej etyki obowiązku, opartej na kilku prostych zasadach: odpowiedzialności, lojalności, bezinteresowności, przyjaźni i honoru. Respektowanie tych ideałów w zmaterializowanej i koniunkturalnie zmienianej rzeczywistości stwarzała ma szansę zachowania czystego sumienia, a więc uchronienia godności, permanentnie zagrożonej (zwłaszcza w sytuacjach wielkich prób) przez pokusy świata i niedoskonałość moralną natury ludzkiej.

Takie odczytanie Conrada, w dużym zresztą stopniu prawomocne pod względem zgodności z tekstami, a cieszące każdego pedagoga, uniemożliwiło budowanie autorytetu twórcy „Tajfunu” w zupełnej zgodzie ze stylem wartościowania, ukształtowanym na tradycjach polskiego romantyzmu. Pomocny był tu najpopularniejszy model pisarza, jaki zdomował się w

pojęciu posiadacza świadectwa maturalnego, gwarantującego pewne minimum szacunku dla określonych tematów literackich i rozstrzygnięć ideowych. Wysunięcie na plan pierwszy rygorystyki moralnej i wizji życia jako serii zwycięstw duchowych, nastających optymistycznie wobec człowieka i jego losu w walce dobra ze złem, stworzyło Conradowi potęgę w naszej kulturze rejonowej uznania i adoracji.

Ta jednostronna interpretacja twórczości Conrada oparta została na niektórych tylko jego utworach i to powierzchownie odczytanych, bo z akcentem, na sentencjonalne hasła połączonym a z ignorowaniem czynników ironii, odgrywanego w tej prozie rolę na tyle istotną, by przy ważniejszej lekturze zakłócić klarowny obraz pisarza — kandydaci. Ujęcie takie wystarczyło do wznoszenia prestiżu, ale jednocześnie wyrzadziło pisarzowi coś w rodzaju niedźwiedziej przysługi.

To bowiem, co w opiniach obiegowych, w wersji jakby Conrada oficjalnego, świadczyło o doniosłości problemowej jego pisarstwa,

tym myliła się zarówno w ocenie faktów (powodzenie materialne Conrada było wówczas zupełną fikcją), jak i w prognozach na przyszłość. Ogłoszona w petersburskim „Kraju”, piśmie nie przykładającym się zbytnio do patriotycznych mobilizacji, diatriba Orzeszkowej z 1899 roku zabolała Conrada dotkliwie, czemu dawał wyraz w formie aluzyjnej wielokrotnie. Tak czy inaczej zawołany zarzut zdrady narodowej, mający w Polsce wymowę szczególną, przewijał się w rozmaitych przytykach, nawet tuż po zgonie pisarza w r. 1924, a po wojnie w atakach pewnego zacietrzewionego publicysty na łamach „Dziś i Jutro”.

Dwuznaczny stosunek do Conrada, nie mający zresztą żadnego znaczenia dla studiów nad jego życiem i twórczością, jakie składają się na poważny dorobek polskiej conradologii, wynikał z tego, że kariera rodaka nie realizowała marzeń w formie kompletnej, jaką byłby sukces polskiego pisarza, piszącego w ojczystym języku. Zgoda inaczej widział o sam Conrad: „Nie zdaje mi się, bym krajowi był niewierny dlatego, że An-

tomów przodków. Zarówno sprawa polskości, jak i kwestia owych kompleksów, zaowocowały rozkwitem penetracji biograficznych, przynoszących realne i cenne ustalenia, ale też i wiele dywagacji białymutnych w żonglowaniu impresyjnymi odpowiedziami na trzy, charakterystyczne dla tej szkoły myślenia, pytania: 1) Dlaczego Conrad opuścił Polskę? 2) Dlaczego Conrad nie powrócił? 3) Dlaczego do Polski po roku 1918 nie powrócił? Z owych hipotez ułożyć można grubą antologię (jedną już zresztą jest), co nie oznacza, że którakolwiek z tych zagadek została naprawdę rozwiązana. Nie podzielał ponadto przekonania, by były to rzeczywiście najistotniejsze do przebadania sprawy Conrada.

Za takie zaś uznalby interpretację bogatej problematyki jego pisarstwa i analizę sztuki prozatorskiej, którą uprawiał, tym bowiem zapisał się najwyraźniej w literaturze światowej, zarówno swymi pracami, jak i poprzez prace swych znakomitych uczniów, by wspomnieć takich dziełców jego wizji świata ludzkiego i jego typu fikcji fabularnej, jak w

mości i elastyczności w stosunku do potrzeb życia. To już nie pisarz, gawędzący o „wspaniałych mężczyznach na wspaniałych statkach”, ku tak czy inaczej rozumianemu, pokrzepieniu moralnemu, ale docieklawy i ironiczny obserwator mechanizmów społecznych, ekonomicznych, politycznych. Dodajmy do tej kolekcji „innego Conrada” ironicznie przeświełający świat intryg politycznych, prowokacji i podstępnej gry pomiędzy różnymi siłami i instytucjami nowoczesnego społeczeństwa, jaki przynosił dziwna opowieść, a nazwana przez autora przewrotnie „prostą”, opowieść o anarchizmie, polityce politycznej i dyplomatycznej aktywności zagranicznych ambasad, jaką jest „Tajny agent”.

Tę samą poprawkę na ironiczny stosunek do twórczości przez siebie rzeczywistości powieściowej trzeba uznać za krytyczną lekturę, najbardziej znanej, z racji obecności w programie szkolnym, powieści Conrada — „Lorda Jima”. Ta bowiem ironia sprawia, że historia amoralnego młodzieńca, walczącego o odzyskanie utraconego poczucia humoru, zrehabilitowana na wzór, poszukujących ekspiacji bohaterów, znanych z licznych wzorów literackich (Jacek Soplica), przy wszelkich pozorach kontynuacji idei romantycznych, stała się polemiką z romantyczną kulturą duchową, zorientowaną na realizację egotycznych aspiracji jednostki; jednostki dla której jej otoczenie i jej społeczne role stanowiły jedynie tło i okazję do osiągnięcia wyższych pięt własnej doskonałości. To właśnie ambicjonalne potrzeby duchowe (chęć zostania „bohaterem” w romantycznym stylu), los innych ludzi czyniące narzędziem zaspokojenia tych potrzeb, stały się przyczyną klęski Jima, który — zdaniem Marlowa, narratora tej opowieści — nawet w najwzniolejszym momencie swego życia, w tragicznym finale, jest „niezwykle romantyczny” poprzez swój „wzniosły egoizm”.

Analiza, ironia, niepewność, rozważanie tysięcy możliwości, pobudek, skrupułów poznawczych — to w istocie uroda tej prozy, nie zmierzającej wcale tak prosto, jakby to wynikało z mylących autocharakterystyk Conrada i z powszechnych przekonań o jego twórczości, do spokojnej przystąpienia jednoznaczności, moralnie budującej. To fakt, że w końcu tam dociera, ale prostactwa nazwać by trzeba tę wersję prostoty moralnej, która nie uwzględnia całej okrojonej drogi, jaką pisarz prowadził (często przez podstawione narratorskie) swych bohaterów wśród wahań i rozterek, dwuznacznych decyzji i pokus, nim wypracuje jakąś klarowną dewizę postępowania. Tę właściwość prozy Conrada najlepiej może oddaje postać kapitana Marlowa, natura refleksyjna i docieklawa, nadająca gawędzie o przegodach i zastanawiających zjawiskach życia charakter laboratoryjnych studiów nad, staroświecko mówiąc, tajemnicą duszy ludzkiej. „Opowiadania marynarzy — czytamy w „Jadrze ciemności” — odznaczają się prostą bezpośrednią aureolą widzialnych czasów przy widmowym oświetleniu księżycu”. Owe „opary”, „mglista aureola” i „widmowe oświetlenie” — są to wszystkie znamienne dla Conrada pseudonimy jego poglądu na świat, wyrażonego w twórczości. Można podać setki podobnych cytatów. Mgła, tajemnica, ciągłe kluczenie, brak jednoznacznej konkluzji, niepewność — oto są imiona metaforyczne tego świata.

Z tej to, rocznicowej okazji, być może (miejmy tę nadzieję) budzącej zapaly czytelnice wobec twórczości Josepha Conrada-Korzeniowskiego, warto zwrócić uwagę miłośnikom tego pisarstwa, jakże jeszcze często skłonny widzieć w nim Karola Maya morskich przestrzeni, lekturę przegodową (jak to wyznacza w wywiadzie jedna z aktorek), odległą od treści, dziś nurtujących umysły. Że jest w tych tak pięknie i tanio przez PIW wydawanych tomach znacznie więcej różnorodnej myślowo i artystycznie zawartości niż głosz legendy, niewiernych bądź nie dość solidnych, czytelników i komentatorów. I tak być musi w istocie w dorobku pisarza, który patrzył na świat nie przez pryzmat kilku niekwestionowanych, dogmatycznych mądrości, lecz szerokie zagarnięcie przestrzeni, widząc los ludzki zarówno w wymiarach optymistycznych, jak i sceptycznych. W 1905 roku podkreślał (w przedmowie do swej plewuszej książki) zarówno „przekleństwo faktów” i „gorczy naszej mądrości”, jak i „błogosławieństwo złudzeń” oraz „zwoleńską pociechę naszego szaleństwa”. W sześć lat później natomiast wyznał, iż „podstawą pracy twórczej jest odważne zdanie sobie sprawy z nie dających się pogodzić antagonyzmów, które czynią nasze życie tak tajemniczym, ciężkim, fascynującym, niebezpiecznym — i tak pełnym nadziei”. Nie sądzę zatem, by dla klarowności obrazu Conrada-pisarza należało zacieśniać ze sprzeczności i dążyć do hegemonii któregoś z oddzielnie uchwyconych wizerunków artysty.

JERZY RZYMOWSKI

„TEN PAN CO PO ANGIELSKU PISUJE...”

dla bardziej obrotowych i wyrafinowanych intelektualnie sędziów stało się dowodem banalności, efekciarskiego mitotwórstwa, odległego od realnych okoliczności życia społecznego. Najlepszym przykładem takiej reakcji był pamiętny atak Jana Kotta w 1945 roku — który nawiązując do wcześniej już sformułowanych przez Uptoną Sinclaira zarzutów o propagowaniu przez Conrada sumiennego wykonywania obowiązków zawodowych jako formy występowania się armatorom — kapitalistom — godził nie tyle w twórczość pisarza, co w pewną rozpowszechnioną wizję jego twórczości, mylnie z oryginałem identyfikowaną. Z tych samych źródeł jednostronnego i powierzchownego odczytywania powieści i nowel autora „Smugi cienia” rodzą się dziś jeszcze wątpliwości co do walorów jego etycznych drogowskazów, wyprzedzających wadliwą rzekomo w obłączną mgłę odrealnionego świata.

Autorytet Conrada wspiera się jednak nie tylko na przystawności zaprezentowanych wyobrażeń o humanistycznej wartościowości jego dzieł do poglądów na rolę pisarza, wypracowanych przez literaturę polską, ale również na sukcesie, jaki uzyskał u cudzoziemców. Kompleks kulturalnego zaścianka, dokuczający zwłaszcza wtedy, gdy ranga lokalna literatury, silnie związanej z tragicznym losem narodu, rozmijała się z jej oceną z perspektyw europejskich, nie znajdując potwierdzenia swej wielkości, był stałym elementem naszego życia literackiego, ujawniał się w tak odmiennych twórcach, jak z jednej strony — Stanisław Brzozowski, z drugiej zaś — Stefan Żeromski. W tej sytuacji kariera literacka Korzeniowskiego, prawdziwie przebojowe przejście z ukraińskich peryferii na centralne w kulturze europejskiej rubież, budzić musiało, przy wszystkich niechęciach, jakie z racji tego rodzaju Polaka ujawniano, satysfakcję podobną do tej, jaką odczuwano za sprawą Marii Curie-Skłodowskiej, czy choćby naszych literackich laureatów Nobla.

Ukształtował się dziwny stosunek do rodaka, zażywanego zaskutecznie stawy w anglosaskim świecie. Duma łączyła się z narodowymi zastrzeżeniami, co raz widać choćby, w taktownych zresztą, wypowiedziach Żeromskiego. Na samym progu literackiej drogi, spotkała Conrada przysłana Eliza Orzeszkowej, która — zwiędzona niefortunnie podanymi w prasie polskiej informacjami Wicentego Lutosławskiego — skierowała pod adresem autora „Szaleństwa Almayera” te gorzkie słowa potępienia: „A kiedy mowa o książkach, to powiedzieć muszę, że ten pan, który po angielsku pisuje powieści poczyni i opłacać się wybiorze, o mało mnie ataku nerwowego nie nabawił. Czuję, czytając o nim, taką jakąś rzecz śliską i niesmaczną, podłączając mi pod gardło. (...) Zdolność twórcza, to sama korona rośliny, sam szczyt wieży, samo serce serca narodu. I ten kwiat, ten szczyt, to serce odbierać narodowi swemu i oddawać anglosakom, którym ptasiego mleka nawet nie brakuje, dlatego, że drożę za nie płaci! Ależ o tym pomyśleć nawet niepodobna — bez wstydu! I trzeba jeszcze, aby ten pan tak się nazywał, aby nosił imię mojego swego bardzo bliskiego przodka, tego Józefa Korzeniowskiego, nad którego powieściami, podłokiem będad, wylewałam pierwsze ognie szlachetnych zapalów i postanowiłam Nad powieściami pana Konrada Korzeniowskiego żaden podłok nie uroń iży altruistycznie, ani szlachetnego postanowienia nie powiemie (...).”

Dziś widać, jak bardzo niesprawiedliwy był sąd Orzeszkowej, jak przy

glikom dowiodłem, iż szlachcic z Ukrainy może być tak dobrym marynarzem jak i oni i mieć coś do powiedzenia im w ich własnym języku” — pisał w 1901 roku w jednym z listów. To, co osiągnął Korzeniowski, ma znaczenie symboliczne, jak o tym świadczy choćby karykatura Andrzeja Ciecucha w 22 nrze „Literatury” z 74 r., ukazująca spotkanie Conrada i Żeromskiego w Zakopanem (napis nad rysunkiem zawiera zresztą błąd, gdyż podaje rok 1913, gdy w rzeczywistości było to w roku 1914), a opatrzone następującymi wizytówkami: „Joseph Conrad (pisarz)”, „Stefan Żeromski (Sumienie Narodu)”.

Świadomość obcości Conrada, piszącego po angielsku, była od samego początku nieznosna, a przy tym wyczuwano wpływ tradycji rodzimych w szeregu rozwiązań fabularnych, motywów, w kreacji bohaterów jego utworów; czyniono przeto od dawna wszystko, co w filologicznej mocy, by pisarza oswoić — jak to pisał Żeromski — ukazać w „polskim oświetleniu”. Rezultatem tego typu potrzeb jest cała linia rozwoju conradologii polskiej, w której pracach aż roi się od tytułów, zawierających określenie „polskość Conrada”. Doprowadziły one do zresztą, co powiązania dzieł angielskiego prozaka z tradycjami literatury polskiej, szczególnie romantycznej, wyszukania wielu analogii w rodzaju podobieństwa sytuacji „Karaina” i ballady Mickiewicza „Czaty”, a nawet do postawienia problemu „Conrad a Fredro”, co budzić może całkiem śmieszne uśmieszki zdziwienia. Tropienie polskich źródeł twórczości Conrada, choć prowadzi nieraz do zjawiska, nazywanego przez Wańkowicza „chciewstwem”, jako że pogoń za polskością stać się może w tym temacie wybitnie zaboreczka, kieruje jednak uwagę w ogóle ku zagadnieniu wzorów, z których czerpał mógł pisarz, stykający się z rozmaitymi kulturami, i jak sam przyznawał (m. in. w przedmowie do tomu „Między ładem a morzem”), zawdzięczający wiele pomysłów, nie ufrwalowanym na piśmie, lokalnym tradycjom.

Tworzyłem stawały się bowiem niewątpliwie opowieści znane odrębnym grupom społecznym: żeglarzy, misjonarzy, urzędników, włóczęgów, przyrodników, żołnierzy. Dość wyobrazić sobie rozległość czasową (dwadzieścia lat), przestrzenną (tysiące mil) i kulturową (Europa, Ameryka Łacińska, Afryka, Azja) doświadczeń Conrada-marynarza, by przeczucić się tej ogromnej próżni, której nie potrafiły dostatecznie zapelnąć wiedza o ludziach, z jakimi zetknął się on w służbie morskiej i w innych eskapadach, wiedza o legendach mezy i tawerny, malajskich wiosek i cywilizowanych enklaw białego człowieka, prasy tamtych odległych stron, a zwłaszcza — jak pisał Andrzej Eraun, polski reporter-pielgrzym po indonezyjskich szlakach Conrada — „owych „hearsays”, opowieści zaszysanych w środowisku”. Czy więc nie jest z owymi wpływami tak, jak z przysłowiową górą lodową, której część widoczna jest tylko niewielkim fragmentem, w większości ukrytej calości? Widzimy teksty drukowane, głównie polskie, nieznanym pozostaje świat fabuły, gawęd i baśni, towarzyszących pisarzowi przez lata, które z młodzieńca uczyniły go mężczyzną i uformowały świadomego swych celów twórcę.

Inny jeszcze konterfekt Conrada, zarysowany przez poszukiwania dotychczasowe, podpisane być można: „Conrad zakompleksiony”. W ujęciu tym, przed wojną forsowanym m. in. przez zdolnego krytyka Rafała Marclego Blütha, pisarstwo Conrada było formą kompensacji głosów sumienia emigranta, co porzucił ziemię i

pierwszej kolejności — William Faulkner, a następnie Ernest Hemingway, F. Scott Fitzgerald, Antoine de Saint-Exupéry i inni. Nie przeszedł obok Conrada obojętnie chyba żaden z wielkich twórców XX wieku.

Jak pisałem w wstępie tego krótkiego przeglądu wyobrażeń o Conradzie, pozostawił on i utrwalił się w wersji „heroicznej”, jako orędownik pewności moralnej i wiary w człowieka. W istocie jednak wyraził w wielu swych utworach kryzys wartości moralnych, znamienych dla frustracyjnych nastrojów przełomu stuleci, a związany z zachwianiem poczucia wieczności tych norm pod wpływem wyzwalania się człowieka



Fot. Archiwum

ze złudzeń, jakie dawały tradycyjne mity kultury, opartej o religijne gwarancje moralności. Najpełniej widać to w „Jadrze ciemności”, opowiadaniu jakże kontrastowo nie pasującym do wspomnianego poglądu na Conrada, a ukazującym, jak owa wolność, ujawniającą z całą grozą przypadkowość i umowność kultury, rozluźniając więzy moralne i podnosząc wysoko sztafety aspiracji indywidualnych, pobudzając wreszcie rojenia o własnym prawodawstwie moralnym jednostki, rozstrzygającej wedle swych potrzeb, co jest dobrem a co złem, demaskuje kruchość idei, składających się na wyposażenie duchowe Europejczyka, przemieniającego misję cywilizacyjną w krucjatę eksterminacyjną, nikczemną w swej cynicznej zbrodniowości. Obsesja Dostojewskiego, rejestrująca pokusy nihilizmu, stała się bardzo precyzyjnie analizowanym przez Conrada zadaniem intelektualnym. Obok więc bohaterów i niezachwianych w swych enotach kapitanów z morskich opowieści postawił trzeba Kurtza, bohatera „Jadra ciemności”, na którego „złożyła się cała Europa”, jak mówi narrator, co chyba dobitnie ukazuje znaczenie, jakie Conrad przypisywał tej wizji człowieka.

Za szeregiem postaci nieskazitelnych, owych ambasadorów pisarstwa Conrada, kształtujących najpowszechniejsze o nim pojęcia, postawmy bohaterów jego największej, mistrzowsko skonstruowanej powieści „Nostromo”, całą ekipę obywateli nowoczesnego społeczeństwa, uwikłanych w sieci „interesów materialnych”, frazeologii ideologicznej różnego autoramentu i w działaniu przy użyciu najrozmaitszych metod, raz po raz wystawiających wszelkie kodeksy postępowania na ciężką próbę przydat-

Kahn poprosił mnie, żebym poszedł z nim razem.

— Chodzi o łupieżczą wyprawę — rzekł — przeciwnie człowiekowi, który nazywa się Hirsch. Dla doktora Gräfenheima.

— Przeciwnie Hirschowi, który oszuł Kahn rozszedziony.

— Tak, przeciwnie niemu — rzekł Kahn rozszedziony.

— Ale to nie jest ten, który twierdzi, że nigdy nie od Gräfenheima nie otrzymał? Ten, od którego Gräfenheim nie ma nie na piśmie?

— Dokładnie ten sam! Właśnie dlatego jest to bandycka wyprawa. Gdyby Gräfenheim miał coś takiego jak pokwitowanie albo przynajmniej jakiś list, wtedy byłaby to sprawa dla adwokata. Ale on nie ma nie. Tylko głód i przyzwyczajenie. Poza tym nie może dążyć studiować, nie ma pieniędzy. Pisał kiedyś do Hirscha, ale nie otrzymał odpowiedzi, czczeniem był u niego osobiste. Hirsch pośpieszył i uprzedził go za drzwi i zagroził, że oskarży go o szantaż, jeżeli przyjdzie jeszcze raz. Po czym Gräfenheim ogarnął stary paniczny lek emigranta, że zostanie wysiedlony. Wszystko to wiem od Betty.

— Czy Gräfenheim wie o pańskim planie?

Kahn wyszczerzył zęby.

— Nie — rzekł śmiejąc się. — Leżałby już przed drzwiami Hirscha, by nas nie dopuścić. Stary lek.

— Czy Hirsch wie, że my przyjdziemy?

Kahn skinął głową.

— Przygotowałem go. Dwie rozmowy telefoniczne.

— On nas wyprosi. Albo nie będzie go w domu.

Kahn znowu wyszczerzył zęby. To było coś w rodzaju śmiechu, ale nie życzyłem sobie jego przeciwnika. Chodził inaczej niż przedtem — szybciej, dużymi krokami i twarz zdawała się być bardziej napięta niż zwykle. Pomyślałem, że tak prawdopodobnie wyglądał w Francji.

— On będzie w domu!

— Ze swoim adwokatem, żeby również nam zagrozić szantażem.

— Nie sądzę — rzekł Kahn i zatrzymał się. — Tu mieszka sep skierowany. Bardzo ładnie, co?

Był to dom przy 54 Ulicy. Czerwone chodniki, staloryty na ścianach, czołowiek, który obsługiwał windę, lustro w wyłożonej boazerią windzie, człowiek w fantazyjnym uniformie. Umieściłoby się tam.

— Na piętnaste piętro — rzekł Kahn. — Hirsch!

— Nie sądzę, żeby miał u siebie adwokata — rzekł Kahn. — Zagroziłem mu nowym materiałem. Wobec tego, że jest totorem będzie go chciał zobaczyć, on przecież jeszcze nie został Amerykaninem, na pewno tkwi w nim jeszcze trochę starego, poczynił strachu, będzie wolał przedtem dowiedzieć się, o co chodzi, zanim wtajemniczy swego adwokata.

Zadzwonił. Otworzyła jakaś dziewczyna. Zaprowadziła nas do pokoju, w którym stały kopie mebli w stylu Ludwika XV, kilka złotych.

— Pan Hirsch zaraz nadjedzie.

Pan Hirsch był okrągłym, średniego

wzrostu mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat. Wraz z nim wszedł owczarek w złocistej obroży. Kahn uśmiechnął się, gdy go zobaczył.

— Ostatni raz widziałem tę rasę w gestapo, panie Hirsch — powiedział. Trzymał ją tam do połowiania na ludzi.

— Spokojnie Harro! — Hirsch pogłaskał psa. — Pan chciał ze mną rozmawiać. Pan nie powiedział, że panowie przyjdą w dwóch. Mam bardzo mało czasu.

— To jest pan Ross. Nie chcę pana długo zatrzymywać, panie Hirsch. Przyszedł w sprawie doktora Gräfenheima. Jest chory, nie ma pieniędzy i musi zrezygnować ze swych studiów. Pan go zna, nieprawdaż?

Hirsch nie odpowiedział. Głaskał psa, który cicho wareszał.

— A więc zna go pan — powiedział

— Pan stroi sobie żarty? Nie mam na to więcej czasu...

— Ależ ma pan na to czas, panie Hirsch. I proszę nie opowiadać, że pański adwokat siedzi w sąsiednim pokoju. On tam nie siedzi. Za to ja chcę pana coś opowiedzieć, co będzie dla pana interesujące. Nie jest pan jeszcze Amerykaninem i spodziewa się pan w następnym roku nim zostać. Nie może więc pan pozwolić na przykre plotki o sobie. Stany Zjednoczone są na to dosyć czule. Mój przyjaciel Ross, znany dziennikarz, i ja wolilibyśmy pana przed tym uchronić.

— Czy mają panowie coś przeciwko temu, że poinformuję policję? — zapytał Hirsch, który widocznie podjął jakąś decyzję.

— W najniższym stopniu. Przekażemy wówczas ludziom natychmiast nasz materiał.

— A pan jest Żydem?

— Tak jak pan, niestety!

— I pan prześladowa Żyda?

Kahn na chwilę zaniemówił.

— Tak — rzekł potem — powiedziałem już panu, że się nauczyłem wiele od gestapo. Poza tym techniki od amerykańskich gangsterów. I jeżeli pan chce panie Hirsch, mam również coś niecoś żydowskiej inteligencji.

— Policja w Ameryce...

— Także od policji w Ameryce nauczyliśmy się — przerwał Kahn. — Nawet niedługo! I w tej chwili nie potrzebujemy jej. Aby pana załatwić, wystarczy papier w mojej kieszeni. Mnie nie zależy na tym, by pan poszedł do więzienia. Wystarczy, jeżeli wsadzą pana do obozu dla internowanych.

Hirsch podniósł rękę.

— Do tego potrzeba kogoś innego niż pan, panie Kahn. I do tego potrzeba innych dowodów niż pańskie fałszywe oskarżenia.

— Sądzi pan? — odrzekł Kahn. — W czasie wojny? Dla jakiegoś urodzonego w Niemczech rzekomego emigranta. Co się panu zresztą stanie w obozie? Zamkną pana zwyczajnie, po ludzku. Do tego nie trzeba zbyt wielu powodów. A nawet gdyby pan nie poszedł do obozu, jak wyglądałoby przyznanie panu obywatelstwa? Nieufność i plotki mogą sprawę przesądzić.

Dłoń Hirscha zaciskała się kurczowo na obroży psa.

— A co z panem? — rzekł cicho. — Co byłoby z panem, gdyby to wyszło na jaw? Co stałoby się z panem? Szantaż, fałszywe zarzuty...

— Wiem dobrze, czym to się przyplaca — odrzekł Kahn. — Jest mi to obojętne. Gwiżdż na to. Gwiżdż na wszystko! Na to, co dla pana ma znaczenie, panie kancelarzu, marząc o przyszłości. Mnie jest wszystko jedno, ale pan tego nie może zrozumieć, pan, gnido mieszańca. Już we Francji nie dbałem o to. Sądzi pan, że w przeciwnym wypadku robiłbym to wszystko? Nie jestem zbłązowanym filantropem! Nie dbam o to, co będzie! Niechby pan tylko coś przedsięwziął, coś przeciwko mnie, nie zwróciłbym się do sądu, Hirsch! Rozprawilibym się z panem sam. I nie byłby to pierwszy przypadek. Czy pan wie coś o prawdziwej rozpaczy? Czy pan wie, że jeszcze nie rozumiem, jak tania się dziś zabija? — Kahn uczynił gest obrzydzenia. — Na co nam to wszystko? Pan nie odczuje tego boleśnie. Wyplaci pan niewielką część pieniędzy, którą jest pan winien, nie więcej.

Hirsch znowu wyglądał, jakby coś w milczeniu przeżuwał.

— Nie mam pieniędzy w domu — rzekł nareszcie.

— Może mi pan dać czek.

Hirsch puścił nagłe psa.

— Leżać, Harro! — Otworzył drzwi.

Pies zniknął. Hirsch zamknął drzwi.

— Nareszcie — rzekł Kahn.

— Nie dam panu żadnego czeku — oświadczył Hirsch. — Chyba pan to rozumie?

ERICH MARIA REMARQUE

CIEŃ W RAJU

(FRAGMENTY)

Kahn. — Ja nie wiem czy pan mnie zna. Jest wielu Kahnów, podobnie jak wielu Hirschów. Ja jestem Gestapo-Kahn. Być może, słyszał pan o mnie. Przebywałem jakiś czas we Francji, by zabawić się z gestapo. Przy czym nie zawsze to wypadło bardzo godnie; z obu stron nie bardzo, panie Hirsch. Również z mojej strony. I dlatego myślę, że taka ochrona w postaci owczarka, jak dziś, spowodowałaby mnie do śmiechu. Zanim pańskie zwierzę osmieliłoby się mnie ruszyć, panie Hirsch, byłoby już martwe. I zapewne pan także. Nie zależy mi jednak na tym, jestesmy tu po to, by otrzymać pieniądze dla doktora Gräfenheima. Mam nadzieję, że zechce mu pan pomóc. Jaka suma chce mu pan pomóc?

Hirsch spoglądał na Kahna.

— I dlaczego ja mam to zrobić?

— Z wielu powodów. Jeden zwiastuje miłosierdzie.

Hirsch zdawał się jakiś czas rozważać. Bez przerwy obserwował Kahna. Wreszcie wyciągnął z kieszeni marynarki portfel z brązowej krokodylowej skóry, otworzył go i wyjął z jednej strony dwa banknoty, zwiłając przy tym dwa palce przy przeliczaniu pieniędzy.

— Oto proszę dwadzieścia dolarów. Więcej dać nie mogę. Za wielu ludzi przychodzi do mnie w podobnych sprawach. Gdyby wszyscy emigranci wnieśli podobne kwoty, w krótkim czasie zebrałbyście pieniądze na pokrycie kosztów studiów doktora Gräfenheima.

Sądziłem, że Kahn rzucił mi te pieniądze na stół, ale on wziął je, włożył do kieszeni.

— Dobrze, panie Hirsch — rzekł. — Liczę na to, że otrzymamy jeszcze 980 dolarów. Tyle potrzebuje doktor Gräfenheim, jeżeli będzie żył skromnie, nie palił i nie pił.

— Materiał! Wymuszanie jest w Ameryce dosyć surowo karane. Wynosicie się!

Kahn rozsiadł się na jednym ze złotych krzeseł.

— Sądzi pan, panie Hirsch — odezwał się zmienionym tonem — że był pan przebiegły. Nie był pan. Trzeba było zwrócić Gräfenheimowi jego pieniądze. Tu, w mojej kieszeni, znajduje się petycja do władz imigracyjnych o wstrzymanie panu amerykańskiego obywatelstwa. Podpisana przez stu emigrantów. Tu jest następna petycja o nieprzyznanie panu obywatelstwa ze względu na pańskie machinacje z gestapo w Niemczech, podpisana przez sześć osób, przy tym dokładny opis, dlaczego wywołał pan w Niemczech więcej pieniędzy niż inni; wymienione jest tam nazwisko gestapowca, który dostarczył je panu do Szwajcarii. Ponadto mam tu wycinek gazety z Lyonu na temat Żyda Hirscha, który przy przestępstwie przez gestapo zdradził miejsce pobytu dwóch uciekinierów — wkrótce obaj zostali rozstrzelani. Niech pan nie protestuje, panie Hirsch. Być może, że to nie był pan, ale ja będę twierdził, że to pan.

— Co?

— Udowodnię, że to był pan. Wiadomo tutaj, co robiłem we Francji. Uwierzę mi łatwiej niż panu.

Hirsch nie spuszczał oka z Kahna.

— A więc chce pan fałszywie zeznawać.

— Fałszywie tylko w sensie prymitywnego ujęcia prawa; lecz nie w myśli zasady: „oko za oko, ząb za ząb”. W Starym Testamentcie, Hirsch. Pan doprowadził Gräfenheima do ruiny, my doprowadzamy pana. Nas nie obchodzi, co jest prawdą, a co nie jest. Już panu powiedziałem, że w swoim czasie od nazistów czegoś się nauczyłem.

AGONIA III RZESZY

Powróciłem do Hoenlichen i tutaj, witając się ze mną, Himmler powiedział:

— Schellenberg, boję się tego, co już wkrótce nastąpi...

Po obiedzie rozważaliśmy wiele spraw, a w ich liczbie także kwestie obozów jenieckich. Zwróciłem uwagę Himmlera na nierozumne i bliskowroczne stanowisko Kaltenbrunnera, który za wszelką cenę chciał ewakuować obozy koncentracyjne.

— Ale Himmler przerwał mi:

— Czy przypadkiem nie idzie pan za daleko? Hitler i tak wiecie, że Buchenwald i Bergen — Belsen nie zostały całkowicie ewakuowane...

W niedzielę, 22 kwietnia dowiedziałem się, że nasza sytuacja na froncie wschodnim pogorszyła się tak dalece, że Hitler wydał rozkaz czterem dywizjom SS do kontruderzenia. Oznaczało to całkowitą zagładę tych związków. Dowódca sztabu Himmlera i ja uznaliśmy to kontruderzenie za absolutnie bezcelowe.

Wkrótce do Hoenlichen przybył obergruppenführer Berger, z którym omówiłem te niezwykle złożoną sytuację. Zaproponowaliśmy wysłać samolotem do USA, do Roosevelta (przez Szwajcarię), pozostającego w naszej niewoli amerykańskiego generała Wanamanna, który był swego czasu attaché wojskowym w Berlinie. Misja Wanamanna miałaby na celu, przede wszystkim, poinformowanie Roosevelta o pragnieniu Niemiec zawarcia pokoju z państwami zachodnimi. Po długiej rozmowie z Wanamannem osiągnęliśmy pełne zrozumienie. Himmler nie zgodził się jednak na zaaprobowanie tego zamierzenia, ale teraz działo się już na własną odpowiedzialność: porozumiałem się z moimi przyjaciółmi w Szwajcarii, jak również z amerykańskimi attaché wojskowymi w Bernie, w sprawie zabezpieczenia nielegalnego przetrwania Wanamanna przez granicę szwajcarską.

Tymczasem sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. W południe musieliśmy pośpiesznie opuścić Wustrow, gdyż czołgi radzieckie były już w okolicach Oranienburga i zbliżały się do Loewenberga. Wyprowadziliśmy kolumny naszych wycofujących się wojsk: artylerię, piechotę, czołgi, nieprzerwaną rzeka odpywały na zachód pod cięsnymi rosyjskimi lotnictwem, operującego na małych wysokościach. Wreszcie dotarliśmy do Hoenlichen. Po obiedzie Himmler powiedział do mnie: „Wierzę teraz, że ma pan rację, Schellenberg, ja muszę działać! Co pan proponuje?”

Odpowiedziałem, że teraz decydują za nas wydarzenia i że nawet w misji Wanamanna nie można już oczekiwać nadziei. Chociaż, być może, istnieje szansa na powtórne omówienie sytuacji z hrabią Bernadotte, jeśli jeszcze nie opuścił Lubecku.

Himmler polecił mi natychmiast udać się do Lubecku. Postanowił prosić hrabiego, żeby w jego imieniu przekazał państwu zachodnim oficjalne oświadczenie o kapitulacji Niemiec...

Bez zwłoki wyruszyłem w drogę, ale lotnictwo rosyjskie i zafarowane szosy utrudniały podróż. Do Lubecku dotarłem w nocy. Dowiedziałem się tutaj, że hrabia Bernadotte jest w Danii. Pokonując ogromne trudności, udało mi się nawiązać z nim łączność telefoniczną i poprosić go o przybycie do Flensburga w celu przeprowadzenia rozmów.

Nazajutrz, 23 kwietnia, w szwedzkim konsulacie we Flensburgu spotkałem się z Bernadotte. Po wysłuchaniu mnie hrabia powiedział, że nie widzi konieczności prowadzenia rozmów z Himmlerem. Byłoby lepiej — mówił hrabia — gdyby Himmler wyłożył swoje zamiary w piśmie do Eisenhauera, proponując państwu zachodnim bezwarunkową kapitulację Niemiec. Zaaprobowałem, że jest to zupełnie niemożliwe, ponieważ Hitler jeszcze żyje i przekazałem mu prośbę Himmlera. Po godzinnej chyba dyskusji Bernadotte wyraził zgodę.

Tegoż dnia, późnym wieczorem, byłem już z Himmlerem w szwedzkim konsulacie w Lubece, gdzie, przy świetle świec, (elektrownia nie pracowała),

OD POCHODU NA WSCHÓD — DO UCIECZKI NA ZACHÓD (V)

nastąpiło spotkanie z hrabią Bernadotte.

Reichsführer długo, zawiłe i mało wyważające milczenie, wreszcie przerywając następującymi słowami: „My, Niemcy, jesteśmy zmuszeni uznać siebie za zwyciężonych przez państwa zachodnie. Proszę pana o przekazanie tego oświadczenia gen. Eisenhowerowi za pośrednictwem rządu szwedzkiego. My, Niemcy, a w szczególności ja, nie wyobrażamy sobie kapitulacji przed Rosjanami. Będziemy z nimi walczyć dopóty, dopóki państwa zachodnie nie przeskądzą naszego kraju w pole bitwy”.

Himmler powiedział, że czuje się upoważniony do podjęcia takiej decyzji, ponieważ najpóźniej za dwa, trzy dni, Hitler nie będzie już żył. Hrabia Bernadotte zgodził się na przekazanie tego oświadczenia Himmlera. Chciałymi, by Bernadotte udał się samolotem bezpośrednio do sztabu gen. Eisenhauera bez jakiegokolwiek wstępnego przygotowania dyplomatycznego. Jednakże ta propozycja została odrzucona. Wreszcie uzgodniliśmy, że Himmler napisze pismo do ministra spraw zagranicznych Szwecji, prosząc go, by swoim wysokim autorytetem poparł propozycję, które przekazał mu Bernadotte. Po krótkim omówieniu ze mną treści tego pisma, Himmler napisał je własnoręcznie przy blasku świec.

28 kwietnia szwedzki konsul poinformował mnie, że rozmowy Bernadotte nie mają najmniejszych widoków powodzenia, i że sojusznicy odmówili rozmów z Himmlerem. Powiadomiłem o tym reichsführera... Należy powiedzieć, iż w pełni zdawałem sobie sprawę z mojej trudnej sytuacji, pozostając przy Himmlerze. Stała się ona tak niebezpieczna, że w każdej chwili mogłem się spodziewać likwidacji. Oto dlaczego 28 kwietnia pojechałem do Himmlera w towarzysztwie pewnego hamburskiego astrologa, osobistego znajomego Himmlera, którego darzył on wyjątkowym zaufaniem. Dobrze wiedziałem, że Himmler nigdy nie odrzucił jego propozycji postawienia mu horoskopu...

Himmler uważał mnie za inicjatora rozmów z państwami zachodnimi i jednocześnie za winowajcę ich fiaska, co rzekomo naraziło go na gniew Hitlera. Przy pomocy astrologa udało mi się go trochę uspokoić.

Nocą 30 kwietnia powróciłem do Flensburga, gdzie jeden z moich współpracowników, sturmbanführer Wirzing powiadomił mnie, iż Kaltenbrunner usunął mnie ze stanowiska i wykonywanie moich funkcji powierzyl obersturmbanführerowi Wanekowi, kierownikowi wydziału politycznego oraz obersturmbanführerowi Skorzeni, kierownikowi wydziału wojskowego SD.

Po krótkiej rozmowie telefonicznej z Himmlerem, w której, m. in., anulował on decyzję Kaltenbrunnera o usunięciu mnie ze stanowiska, ja i Wirzing, podaliśmy na południe. Na pokonanie odległości około 50 km straciłmy ponad trzy godziny, ponieważ wszystkie szosy i boczne drogi były zatłoczone wojskiem, wycofującym się w pośpiechu z rejonu Maklenburga. Rankiem, 1 maja w sztabie Himmlera czekała na mnie oszałamiająca wiadomość: Hitler popełnił samobójstwo.

2 maja rano przyjechaliśmy z Himmlerem do sztabu Doenitza w Płoc, gdzie przedstawiliśmy nasz plan z propozycją natychmiastowej kapitulacji wojsk niemieckich w krajach skandynawskich. Himmler zaaprobował moją podróż do Kopenhagi.

3 maja przybyłem do stolicy Danii, gdzie od razu przyjął mnie przedstawiciel rządu szwedzkiego. Powiedział mi, on, że całkowita kapitulacja wojsk niemieckich nastąpi w przeciągu kilku dni, i że w tej chwili kapitulacja w Danii i Norwegii miałaby znaczenie czysto formalne. Jednakże nadal był on gotów do wykonania naszego początkowego planu. Uzgodniliśmy, że natychmiast powracam do sztabu Doenitza oraz ułożyliśmy umowne zdania do przekazu telefonicznego moich informacji. I tak np. zdanie: „Byłbym bardzo rad widzieć pana znowu...” — oznaczało, że Reich stawia warunki w przetargu o Norwegię. A zdanie: „Zawadamiam pana...” — precyzowało, że warunki te rozciągają się także na Danię.

Udałem się w drogę powrotną do Płoc. Była to najtrudniejsza podróż, jaką kiedykolwiek odbyłem. Na stokunkowo niewielkiej odległości (70 km) byliśmy dwadzieścia razy atakowani z powietrza... Drogi zatłoczone cofającym się wojskiem i zaklinowane unieruchomionym bojowym sprzętem mechanicznym. Płonące samochody, szkielety czołgów, tysiące trupów dopędzały

LEKTURA NA WAKACJE

Przyglądałem mu się z zainteresowaniem. Nie wierzyłem, że tak szybko ustąpi. Kahn miał chyba rację, anonimowy lek połączony z autentycznym pocutem winy sprawił, że Hirsch poczuł się niepewny. Zdawał się szybko namyślać i podobnie szybko dziać — jeżeli nie zamierzał użyć jakiegokolwiek podstępów.

— A więc przyjdę jutro — rzekł Kahn.

— A papiery?

— Zniszczę je jutro na pańskich oczach. — Dam pieniądze w zamian za papiery.

Kahn pokręcił głową.

— Żeby się pan dowiedział, kto jest gotów zeznawać przeciwko panu? Wykluczone!

— W takim razie kto mi może powiedzieć, że te materiały są autentyczne?

— Ja — odpowiedział Kahn. — To musi panu wystarczyć.

Hirsch znowu przeżuwał bezgłośnie.

— Dobrze — rzekł wreszcie bardzo cicho.

— Jutro o tym samym czasie. — Kahn poniósł się ze swego złotego krzesła.

Hirsch skinął głową. Stał się nagle mokry od potu.

— Mój syn jest ciężko chory — wyszczerzył. — Mój jedyny syn! A pan... pan powinien się wstydić! — rzekł nagle. — Jest się zrozpaczonemu... a pan?

— Spodziewam się, że pański syn wyzdrowieje — odrzekł Kahn spokojnie. — Doktor Gräfenheim na pewno będzie mówił panu wskazać najlepszego lekarza.

Hirsch nie nie odpowiedział. Jego twarz wyrażała osłabłą mieszaninę nienawiści i bólu, nienawistnie widniała w oczach. Zdawał się bardziej pocieszony niż na początku, ale widziałem często, jak ból z powodu straty pieniędzy przejawiał się podobnie jak przy rzeczywistym cierpieniu. Być może, że dla Hirscha istniał jakiś tajemniczy związek między chorobą syna i krywdą lekarza Gräfenheima i że dlatego tak szybko skapitulował, bezsilność wzmożła jeszcze bardziej nienawiść Hirscha. Dziwnym zbiegiem okoliczności było mi go niemal żal.

— Weale nie jestem pewien, czy syn jego jest rzeczywiście chory.

— Ja w to wierzę. Zyd nie robi makabrycznych dowcipów na temat swojej rodziny.

Kahn przyjrzał mi się ubawiony.

— A ja weale nie jestem pewien, czy on w ogóle ma syna — wyjaśnił.

Weszliśmy w duszną łaźnię ulicy.

(c.d.n.)

Przełożył:

ALEXSANDER MATUSZYN

25 JAHRE DDR ein Vierteljahrhundert Kampf für Frieden, Demokratie und Sozialismus



Dalszy ciąg ze str. 1

skich mistrzostwach. A więc — twierdzą sceptycy — nie przesadzajmy, tym bardziej, że w mistrzowskich zmaganiach w 1966 roku trzecie miejsce zajęła drużyna Portugalii i jakoś w czerwcu 1974 roku nikt o niej nie pamiętał.

Czasem taki kubek zimnej wody studzi rozpalone głowy, co — oczywiście — nie pomniejsza sukcesu naszej narodowej reprezentacji, ale rodzi — przy okazji — inną wątpliwość: CO PRZECIĘTNY POLAK WIE O SWOICH NAJBLIŻSZYCH SĄSIADACH?

JEDZIEMY DO NRD

W kiosku „Ruchu” udało mi się kupić niewielką książeczkę Stefana Sosnowskiego „Jedziemy do NRD”, wydaną zresztą jeszcze w 1972 roku. Wydawcą jest AGENCJA WYDAWNICZA „RUCH”. Nakład — 50 tys. A zważywszy na to, że kupiłem ją w lipcu 1974 roku, był to nakład wcale nie taki znowu duży. Tym bardziej, że granicę państwową PRL przekroczyło przez te lata znacznie więcej Polaków. Ba! Kilkakrotnie więcej. Zatem nie szukali oni informacji o naszym zachodnim sąsiedzie, kierując się przede wszystkim „własnym nosem” i informacjami „kółpółtowanymi” „pantoflową pocztą”.

Książeczka „Jedziemy do NRD” jest niewątpliwie pożyteczną lekturą, choć już mocno zdezaktualizowana. Można się z niej dowiedzieć ile kosztuje w NRD benzyna i olej do samochodów, jakie tam są różnice w znakach drogowych, ile kosztuje jedna buleczka, są adresy hoteli oraz krótki przewodnik, co gdzie warto zobaczyć. Poza tym są przydatne zwroty i nazwy dla rodaków nie znających języka:

Wie fahre ich zum Bahnhof — Jak dojadę do dworca?
Bitte eine Rückfahrkarte nach... — Proszę o bilet powrotny do...

Um wieviel Uhr geht der Zug nach... — O której godzinie odchodzi pociąg do...?

Wieviel zahle ich — Ile płacę?

I tak dalej.

Zresztą dla Polaków nie znających języka niemieckiego gospodarze miast najczęściej odpowiadanych przez naszych rodaków powyższymi odpowiedziami napisy w języku polskim.

Ale to wszystko nie stanowi wiedzy o NRD. A przecież warto coś więcej wiedzieć o tym kraju, z którym łączy nas wspólna granica i z którym współpracujemy gospodarczo, prowadząc z NRD maszyn i urządzeń, prowadząc wspólne inwestycje i eksportując do NRD nasze towary. Tym bardziej, że w tym samym roku PRL obchodzi 30-lecie swego powstania, a NRD — 25-lecie powstania pierwszego państwa demokratycznego w dziejach Niemiec.

Można na naszym rynku księgarskim znaleźć i inne publikacje o NRD, jak choćby wydaną niedawno książkę Jerzego Muszyńskiego i Jerzego Skibińskiego „Uznanie NRD”, przedstawiającą problem powstania tego państwa w świetle prawa międzynarodowego, rysującą jego sytuację na politycznej i gospodarczej mapie świata. Jest to jednak książka, po którą sięgnie niewielu czytelników, przynajmniej nie ci, którzy najczęściej wołają do naszego zachodniego sąsiada. Sięgną po nią przede wszystkim ludzie głęboko interesujący się problemami NRD, politycy, publicyści, nauczyciele.

Verlag Zeit im Bild w Dreźnie wydało w kilku językach, w tym i w języku polskim, z okazji 25 rocznicy powstania NRD, książkę pod tytułem „NRD SIĘ PRZEDSTAWIA”. Książkę

te można nabyć w miejskich ośrodkach informacji, których adresy podaje Stefan Sosnowski w „Jedziemy do NRD”.

Chciałbym tu się zastrzec, że nie mam zamiaru dawać kompendium wiedzy o naszym zachodnim sąsiedzie, po prostu wydaję mi się, że jest to kraj, który może fascynować, a już na pewno fascynuje jego 25-letnia historia, z której wiele można się nauczyć. NRD jest też pierwszym niemieckim państwem w historii Europy, z którym łączy nas więź przyjaźni i współpracy.

ROK 1957: Jugosławia.
ROK 1963: Kuba.
ROK 1969: Kambodża, Irak, Sudan, Syria, Wietnam Południowy, Jemen, Arabska Republika Egiptu.
ROK 1970: Somali, Algieria, Republika Środkowoafrykańska, Gwinea.
ROK 1971: Chile, Republika Gwinea Równikowej, Republika Czap.
ROK 1972: (między innymi) Pakistan, Finlandia, Szwajcaria, Szwecja, Austria, Cypr, Urugwaj, Belgia, Maroko.
ROK 1973: (między innymi) Holandia, Hiszpania, Dania, Islandia, Nor-

— nadal trwa odpływ siły roboczej do RFN, gdzie warunki życia są znacznie lepsze, gdzie nie ma tych kłopotów, bowiem przemysł RFN rozwija się w oparciu o pomoc kapitałów zagranicznych. NRD wprowadziła korzystną z pomocy państw socjalistycznych, ale te mają własne kłopoty, własne trudności, jest to więc pomoc ograniczona.

W 1961 roku następuje zamknięcie granicy państwowej w Berlinie. Wygasa napięcie, jakie wytworzyło się w tym czasie wokół Berlina. Następuje też punkt zwrotny w gospodar-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NA ZACHÓD OD ODRY - NA WSCHÓD OD ŁABY

LUT HISTORII

W lutym 1945 roku w Jalcie spotkała się wielka trójka i omawiała przyszłość Niemiec powojennych, podzieliła ich między członków koalicji czterech mocarstw: Francję, USA, Wielką Brytanię i ZSRR. W wyniku tego podziału na terytorium przyszłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a wówczas strefy radzieckiej, pozostało potencjalnie 2,3 proc. wydobytanego w 1938 roku węgla kamiennego, 63,2 proc. węgla brunatnego, 5,5 proc. rudy żelaza, 1,3 proc. — produkcji surowki żelaza z 1938 roku, 6,7 proc. — produkcji stali surowej, 6,6 proc. — produkcji stali walcowanej oraz 58,4 proc. — produkcji nawozów potasowych.

Pod koniec 1945 roku przeszło 1 500 wielkich zakładów oraz 8 000 mniejszych i średnich samej tylko Saksonii leżało w gruzach lub było uszkodzonych. Nie były to dogodne warunki dla startu. Jednakże właśnie w radzieckiej strefie okupacyjnej niemieccy antyfaszyści i demokraci przystąpili do odbudowy zniszczeń. W czerwcu 1945 roku Komunistyczna Partia Niemiec wystąpiła z programem przekształcenia Niemiec w kraj pokojowy i demokratyczny. Najbardziej sprzyjające warunki dla realizacji tego programu były w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Konferencja Poczdamska, która rozpoczęła się 2 sierpnia 1945 roku w zamku Cecilienhof ostatecznie ustaliła dalszy los Niemiec, postanawiając demilitaryzację kraju; denacyfikację oraz odbudowanie przyszłości tego kraju na zasadach demokratycznych.

We wrześniu 1945 roku w strefie radzieckiej ukazała się ustawa o reformie rolnej, w wyniku której 3 298 tys. ha ziemi było wydanych obywateli i hitlerowskich zbrodniarzy przekazano 210 tys. rodzin osadników i 120 tys. rodzin małych chłopów. Za reformą rolną poszła również reforma oświaty, w wyniku której ze szkół odeszli ludzie związani z byłą partią hitlerowską.

22 kwietnia 1946 roku 507 delegatów KPN i 548 socjaldemokratów postanowiło powołać do życia Niemiecką Socjalistyczną Partię Jedności. Był to przełomowy moment w historii niemieckiego ruchu robotniczego. Powstała siła, która wzięła w swoje ręce sprawy Niemców na wschód od Łaby.

Inaczej potoczyły się losy Niemców na zachód od Łaby. We wrześniu 1919 roku powstaje Republika Federacyjna Niemiec, i chociaż tam również trwał proces denacyfikacji, to przecież nie wszyscy ludzie związani z hitleryzmem odeszli w cień, do głosu doszedł kapitał niemiecki i ludzie z nim związani. A wiadomo, że ludzie kapitału mieli też silne związki z partią hitlerowską. Były to poza wszystkim czasy nasilającej się „zimnej wojny”, kiedy tym i owym marzyła się „trzecia wojna”, skierowana przeciw ZSRR i krajom demokracji ludowej.

7 października 1949 roku Niemiecki Kongres Narodowy podjął uchwałę o powstaniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Prezydentem nowego państwa został Wilhelm Pieck.

Pierwsze lata istnienia NRD nie były łatwe dla Niemców zamieszkujących na wschód od Łaby. Kraj borykał się z trudnościami, trwała odbudowa zniszczonych wojennych i budowa życia na zupełnie nowych zasadach. Pierwszy plan pięcioletni obejmujący lata 1951—1955, przewidywał dla NRD ogromne tempo rozwoju sił produkcyjnych. Dopiero w 1952 roku II Konferencja Partyną SED podjęła decyzję o planowym budowaniu socjalizmu w NRD.

15 października 1949 roku Związek Radziecki, jako pierwsze państwo świata, uznał NRD i nawiązał z demokratycznym państwem Niemiec stosunki dyplomatyczne.

Historia uznania NRD jest dość długa i skomplikowana.

ROK 1949. NRD uznali między innymi: Bułgaria, Polska, CSRS, Węgry, Rumunia, ChRL, Koreańska Republika Ludowa-Demokratyczna.

ROK 1950: Demokratyczna Republika Wietnamu, Mongolska Republika Ludowa.

węgi, Afganistan, Włochy, Mauretania.

9 listopada 1972 roku cztery wielkie mocarstwa opublikowały jednocześnie w Moskwie, Londynie, Waszyngtonie i Paryżu deklarację o poparciu NRD i RFN w ich staraniach o przyjęcie do ONZ.

8 listopada 1972 roku zawarto układ NRD — RFN, w którym oba państwa zobowiązują się, że „będą rozwiązywały swoje problemy sporne wyłącznie środkami pokojowymi oraz poszukiwaniem sposobów odgraniczenia przemocy lub stosowania przemocy”.

Poza tym: „Potwierdzają one nienaruszalność istniejących między nimi granic obecnie i w przyszłości i zobowiązują się do nieograniczonego poszanowania swej integralności terytorialnej”.

W ten sposób oba państwa niemieckie, uznając się wzajemnie, stworzyły trwałą podstawę dla umocnienia ich pozycji na arenie międzynarodowej, gdyż — jak to stwierdził w art. 4 wspomnianego układu — „wychodzą z założenia, że żadne z obu państw nie może reprezentować drugiego na arenie międzynarodowej lub działać w jego imieniu”. Porozumienie między NRD i RFN otworzyło też oba państwom niemieckim drogę do ONZ.

Dla NRD pierwszym krokiem na tej drodze było przyjęcie jej w poczet członków UNESCO w listopadzie 1972 roku.

25 LAT

Trzeba jednak było prawie 25 lat istnienia i umacniania się Niemieckiej Republiki Demokratycznej, aby mogła ona stać się równoprawnym państwem świata. Przez milające 25 lat w NRD dokonano ogromnego skoku. Jeśli w NRD na jubileuszowych plakatach pisze się, że „25 lat NRD to ćwierć wieku walki o pokój, demokrację i socjalizm” — to nie jest to tylko okolicznościowe hasło, a stwierdzenie zamykające ćwierć wieku dramatycznych niekiedy losów niemieckiego państwa.

Dla polityków kierujących NRD jedno było jasne: sukcesy polityczne muszą być następstwem sukcesów gospodarczych. Jeśli NRD zaczęło liczyć się na rynkach gospodarczych świata, to w konsekwencji będzie musiało też liczyć się w układach politycznych. Przecież nie można handlować z państwem, którego się nie uznaje, które się dyskryminuje. A zatem trzeba techniki i gospodarkę postawić na najwyższym poziomie, aby jej wytwory były atrakcyjne dla kontrahentów.

Przypomnijmy jednak punkt startu.

Linia podziału Niemiec po wojnie burzy system gospodarczy tego kraju. Niemcy wchodzą z wojny zniszczone. W NRD — po zawiązaniu się organizmu państwowego — wylania się konieczność nie tylko odbudowania przemysłu, ale stworzenia wielu gałęzi od podstaw. Otwarta granica z RFN sorczyła odpływowi siły roboczej. W 1950 roku USA ogłaszały embargo na wiele towarów eksportowanych do krajów socjalistycznych. Wtedy jeszcze NRD traktowano jako radziecką strefę okupacyjną. A przemysł NRD pozbawiony surowców nie mógł istnieć bez ich importu.

Mimo tych trudności w latach pierwszej pięcioletki — 1951—1955 — produkcja przemysłowa NRD wzrosła o około 90 procent, w tym:

— wytop stali surowej — o 350 proc.,

— produkcja wyrobów walcowanych — o 145 proc.,

— produkcja przemysłu maszynowego — o 109 proc.,

— produkcja przemysłu elektrotechnicznego — o 43 proc.,

— produkcja energii elektrycznej — o 45 proc.

ALE: — w NRD do 1958 roku obowiązywał system racjonowania żywności, a więc system kartkowy.

— występowały w tym czasie poważne trudności aproprizacyjne i trzeba było ograniczać eksport, aby zaspokoić przede wszystkim wewnętrzne potrzeby,

ce NRD. Dysponuje ona już wieloma gałęziami produkcji, których do tej pory nie posiadała. Od 1963 roku handel zagraniczny NRD zaczyna odgrywać rolę dzwigni ekonomicznej, siły napędowej przemysłu, ale też ma co oferować potencjalnym i rzeczywistym kontrahentom.

Według danych z 1969 roku produkcja niektórych wyrobów przemysłowych w przeliczeniu na jednego mieszkańca piasława NRD na następujących miejscach:

— pierwsze miejsce w świecie NRD posiada w wydobyciu węgla brunatnego, produkowaniu sody kalcyonowanej i nawozów potasowych. Jest też drugim w świecie producentem jedwabiu sztucznego, piątym — nawozów fosforowych i sody kaustycznej oraz surowców energetycznych,

— w Europie NRD zajmuje pierwsze miejsce w wydobyciu węgla brunatnego, produkcji nawozów potasowych i sody kalcyonowanej, jest trzecim w Europie producentem surowców energetycznych, drugim jedwabiu sztucznego, siódmym — włókien syntetycznych, ósmym — energii elektrycznej.

— W RWPG Niemiecka Republika Demokratyczna jest poza utrzymaniem bezwzględniego primatu w wydobyciu węgla brunatnego, produkcji energii elektrycznej, sody kalcyonowanej i nawozów potasowych, pierwszym producentem sody kaustycznej, nawozów fosforowych, jedwabiu sztucznego i włókien syntetycznych. Jest wśród krajów członków RWPG drugim producentem cementu i kwasu siarkowego, trzecim surowców energetycznych, piątym — stali surowej, szóstym — surowki żelaza.

ALE — jeśli w 1950 roku było niewiele ponad 818 tys. pracujących, wliczając w to również młodzież uczącą się zawodu, to w 1972 roku w NRD było 8 266 300 pracujących, również z uczącymi się zawodu. A więc ogromny przyrost produkcji osiągnięto drogą automatyzacji, mechanizacji i wydajności pracy.

Warto tu też zwrócić uwagę, że w NRD — według danych z 1972 roku — wśród pracujących jest 8,3 miliona kobiet, tym razem już bez dziewcząt uczących się zawodu. Poza tym 15,3 proc. całej ludności NRD przekroczyła już 65 rok życia. Przyrost naturalny w NRD w 1965 roku wyniósł 3 na tysiąc mieszkańców (w Polsce dla porównania 10, w Jugosławii — 12,2, w RFN — 6,7, Wielkiej Brytanii — 6,8, w ZSRR — 11,1), natomiast w 1969 roku — już minus 0,3. W tym samym 1969 roku dla porównania: w Polsce — 8,2, w Jugosławii — 9,5, w RFN — 3, Wielkiej Brytanii — 4,7, ZSRR — 8,9.

Stąd też cechą charakterystyczną gospodarki NRD jest rozpiętość pomiędzy dynamiką rozwoju przemysłu a dynamiką przyrostu ludności. Mimo ujemnego bilansu demograficznego dynamika gospodarcza stale wzrasta. Do roku 1975 — w porównaniu do poziomu z 1971 — NRD planuje zwiększyć dochód narodowy o 28 proc., produkcję towarową — o 36 proc., wydajność pracy — o 37 proc., a spożycie — 23 proc.

Stąd też drugą cechą charakterystyczną gospodarki NRD jest szybkie wprowadzanie w życie wszelkich zdobyczy techniki i nauki, które pozwalają nie tylko utrzymać to tempo przyrostu produkcji, ale jeszcze je zwiększać.

JEDZIEMY DO NRD

Kiedy znowu będziemy wybierali się na zachód od Odry warto — myślę — byłoby pamiętać o tym wszystkim, warto byłoby zachowywać się sprawnie działającym handlem w NRD, pamiętać również o cenie, jaką za tę sprawność zapłacili ludzie pracy tego kraju. A poza tym serdecznie zachęcam do zwiedzenia turystycznych atrakcji NRD, a nie tylko magazynów handlowych. Ale o tym już pisałem w poprzednich korespondencjach z kraju na wschód od Łaby i na zachód od Odry.



ODZNACZENIE KARIN STANEK

Dziwi mnie ogromnie fakt, iż dyrektor Stowarzyszenia Muzyki Estradowej w Łodzi, p. Andrzej Józwiak, poruszając w swoich trzech artykułach (dwa w „Od-głosach” + jeden w „DL”), sprawę odznaczenia piosenkarzy w Opolu, uparcie pomija nazwisko Karin Stanek. W jednym z tych artykułów, ma nawet pretensje do władz miasta Opola, za całkowite pominięcie łódzkiego artysty. Nie jest to prawda, ponieważ Karin Stanek jest związana z Łodzią już od kilku lat, mieszka w Łodzi (wie o tym dyr. Józwiak), i właśnie ona — jako jedyna piosenkarka łódzka i jako jedyna piosenkarka młodzieżowa — otrzymała w opolskim ratuszu od Prezydenta miasta Opola (w czasie trwania Festiwalu), odznakę za zasługi dla miasta Opola. Wraz z nią odznaki otrzymali, m. in.: Jerzy Polomski, Irena Santor, Joanna Rawik, Halina Kunicka. Czyżby dyr. Józwiak nie do-czytał się nazwiska Karin w tak szacowanym gronie odznaczonych? Bo nie śmiem przypuszczać, aby to pominięcie było celowe i spowodowane faktem, iż Karin odeszła ze SME.

Pragnę tu jeszcze dodać, że 20 lipca br. Karin Stanek otrzymała od władz miasta Halle (NRD) odznakę z okazji 10-lecia Halle — Neustadt. Otrzymała ją na koncercie zorganizowanym specjalnie z okazji tej rocznicy — jako JEDYNA wykonawczyni. Jest to chyba duże wyróżnienie?

ANNA KRYSZKIEWICZ
Łódź

PUDŁO, PANIE PIOTRZE! PUDŁO...

Motto — Każdy orze jak może, Panie Redaktorze!

Ja wiem, że zbliża się tzw. sezon ogórkowy i w związku z tym w każdym poczynnym piśmie liczy się każda litera. Powinno być: „Pudło z Łoch Ness, którego zresztą mam od dawna w domu, już niko specjalnie nie interesuje. Ale to nie powód, by w poszukiwaniu nowej sytuacji, nowego tematu, drukować w OD-GŁOSACH listy do redakcji w formie bardziej lub mniej zobowiązującej recenzji.

Od dawien dawna wiadomo wszystkim, nawet licealistom, że streszczenie sztuki jest tylko lichym wyglądem pisma, co, który za wszelką cenę chce się atować od bełkotliwej przysłówowej gaty i lżeć kartki wypracowania marzy w swych przyszytych, niespokojnych snach o cudzie...

Ostatni cud, jak mi donoszą z dojrzałym polimorfizmem źródeł, zdarzył się w miejscowości R. dwadzieścia dwa kilometry od Warszawy. I to nie miał nominalnego pokrycia, ponieważ okazało się, że miejscowy proboszcz był po prostu ateista, a co za tym idzie, w cuda nie wierzył.

Odległość jaka dzieli stolicę Łódź informację zainteresowanych, że wynosi 135 km, nie upoważnia nawet pana Piotra Słowikowskiego kulturowego wspaniale tradycje odzienne, do pisania paszkwili na propozycje repertuarowe Teatru Powszechnego. Program nie jest wymysłem indolentów; gatunek ten, co do głębi, przynajmniej na razie, nie ma w sobie nic, co by go wyróżniało od innych. Wszakże, jeżeli ktoś chce, może iść do teatru i zobaczyć, jak wygląda ta sztuka na warsztat teatru.

Nie jestem obrażony, bo ani mnie to złości ani grzeje... Wiem tylko, że „Dziw-zyna na sprzedaż” w reżyserii Václava Lohniského, utworu braci Mrštíkových jest uwiecznieniem dziesięciolecia wsoł-pracy Teatru S. K. Neumanna w Pra-dze z Teatrem Powszechnym w Łodzi. I był wystawiony jako jedna z pozycji, pozycji klasycznych, reprezentująca temat ludowy w dramaturgii czeskiej, a właściwie czesko-morawskiej.

Zgadza się z panem Piotrem co do faktury literackiej. Ale i w naszym piśmiennictwie narodowym zdarzały się awaryjne, a ich autorów czemuś przecież do dzisiaj uzupełnia za co innego.

Można wykić np. Mikolaja Reja z Nagłowic, że nie umiał, no łacnie i dialego pisał no polsku. Można iść za nowa przykładem naniasek zupełnie, nana libretto do Haliki! Moniuszki i Halusia, czy też Halecska przed rzuceniem się w przepaść, do potoku będzie sprawa o temperaturę wody... Można iść dalej: Zeby snogować komediowa sytuacje może tuż przed opaleniem samobójstwa obierac w IV prognozę poroków na sierpień, która w dusze odnawia Chmurka i Wiecherek. Nawiazując do naszych tradycji operowych może i także zagrać do skoku „Wieczorka” w wykonaniu Bernarda Ładysza, i też będzie śmiesznie...

Dość mam takich pomysłów i mogę je po koleżeńsku dostarczać przy okazji. A rezeńce w formie listu do redakcji traktuję jako wprawdzie satyryczną dla zespołu realizującego „Wesoły autobus”.

ANDRZEJ JEDRZEJEWSKI
(Łódź)

Z pańskich pomysłów — spod znaku „Każdy orze jak może” — dziękuję, ale nie skorzystam. Wiem gdzie się można z nimi zgłosić, jest taki jeden teatr... Te raz natomiast radziłbym Panu zniszczyć owego potwora z Łoch Ness, którego zresztą od dawna ma Pan w domu”. Trzymanie potwora w domu potwornie wpływa na domowników. A i bywa, że taki potwór list podkrytuje, podstępnie nieprawdziwą wiadomość, albo potwornie kłopotliwe argumenty, że na przykład wszystko co klasyczne, „zatwierdzone po głę-bokim namyśle” jest święte, genialne — stąd już krok do przekonania, że teatr jest dla repertuaru, turystyczno-kultu-ryznej i „uwiecznionej” (wieciecie?) współpracy, a nie dla wida. Ale tu wchodzimy w merytoryczną dyskusję, lecz forma w jakiej Pan mi odpisał mnie do tego nie upoważnia. Wlec. Mistrzu, niech Pan zniszczy tego potwora.

Łączę wyrazy szacunku.

PIOTR SŁOWIKOWSKI
Łódź — 135 km od Warszawy
i co z tego?

Dalszy ciąg ze str. 1

Ani się spostrzegłem, jak zacząłem jeździć z Witosem po wiecach, podczas jednego z nich miałem bronić chłopów, moim przeciwnikiem był ksiądz, kandydat na posła, wyrabiałem wtedy wszystkie krzywdy chłopów z tej wsi, którym dwór, gdy rzeka zmieniła koryto, zrabował odcięty przez rzekę kawał ziemi; zrobił się szum, więc rozbiły, w zamieszaniu przepadła księga czapka karakułowa, wsiadło kilka świec w kościele, a dla mnie „dyma”, miałem jednak przyjaciół wśród profesorów i za ich radą w legalny sposób zwolniłem się z seminarium, no i maturę w 1919 r. przeszedłem koło nosa.

Dolażyłem do kolegi, który nioś na ramieniu oswojoną srokę, wzbudając powszechny podziw we wsiach, i poszliśmy przez Dunajec w szeroki świat. Zatrzymałem się w Bobrownikach, aż w nowiciele koniekiem, byle dalej od miasta, bo na razie miałem dość polityki...

Tak Józef Skubisz wstąpił na tę ścieżkę, z której zbaczal dwa razy, by powracać ochotnie: nie był chciwy zaszczytów ani miejsca na wysokim stołku, nawet jako emeryt nie potrafił rozstać się ze szkołą.

Z Bobrowników siedem kilometrów do kościoła, taka biedna „kolówka” wśród lasów, bez budynku szkolnego, przeto nowy profesor przy pomocy ludności opanował w czasie „kucyków” starą karczmę żydowską, bez podłogi; wieczorami młódz ciągnęła na gry i zabawy, w mig zawiązał się zespół, który z „Królową przedmieścia” wędrował do odległych wsi, a z zespołem opuszczony przez żonę, przygryzający na harmonii dziedzic, jego dzieci aż z Warszawy przyjeżdżały na przedstawienia.

Hulał Skubisz po weseliskach, ludzie go żywiłi, koleżanki miały prezenty, bo chłopaki nauczyli profesora łowić nocą na palik z przynętą miętusy; dużo czytał, otrzymywał liczną pocztę i pewnie okłapywał na dobre w tej sielskiej guszy, ale kiedyś przez las przeciekl cynk o wiecu w Przedborzu, więc Skubisz się ruszył; przemaszzerował 14 kilometrów, zenoł chadeckiego kandydata na posła, więc rozważył i znowu była „dyma”, śmierzdząca dyscyplinarka, dziedzic mówił, że mu kaktus na dłoni wyrosł, jeśli Skubisz pozostanie nauczycielem.

Nikt jednak nie wiedział, że nawiązując kontakt z „Wyzwoleniem” otrze się Skubisz o PPS, i to poprzez „Marsziankę”, którą wystukiwał i nucił jadąc struty pociągami z Warszawy; zainteresował się tym nuce-niem goś w średnim wieku, pepesowic, prof. Dziuba z Częstochowy, który zaproponował rozbijaczowi wieców posadę inspektora do spraw rolnych lub nauczyciela w Rudnikach; dla sprawdzenia udał się Skubisz piechotą do Częstochowy i przemawiał na wiecu górniczym, ale do PPS nie wstąpił, ponieważ do Bobrowników przyszło pismo wzywające go do stawienia się w inspektoracie w Kosińskich; „dymy” nie było, przyjął go Dubiel, członek byłego rządu lubelskiego, i zaangażował do roboty politycznej wśród ludowców.

Był rok 1922 i dopiero wówczas zdałem jako ekstern, a więc z 13 przedmiotów, maturę. Profesorowie mnie znali, byli już wśród nich ludowcy, poszło więc nie najgorzej, tylko ksiądz robił mi kłaki, pytając ile było koni w Kanie Galijskiej; strzeliłem, ale celnie, że dwanaście, ksiądz było jednak za mało, przeto drażył, ile z tego Żydzi wypili, odpierłem więc, że dokładnie nie wiem, ale chyba nie wszystko, bo oni są przezorni i musieli robić trochę zatarci na czarną godzinę...

Po maturze osiadłem w Kraszeniach w powiecie radomszczańskim, gdzie wybudowałem dwuklasową szkołę, założyłem OSP i teatr; uczniowie przysilili codziennie po jednym kamieniu, którym wybrukowaliśmy wszystkie ścieżki, a no zaspaniu rowów ułożyliśmy chodniki. Z tego okresu najpiękniej pamiętam moją

Bronię, najlepszą wśród kobiet i żon, i nasze wesela; polatała się wódka i piwo, dęła w instrumenty żydowskie kapela, pięćdziesięciu strażaków na koniach prowadziło nas z kościoła do wsi. A potem na 19 lat osiadłem w Rzejowicach...

Pożółkłe zdjęcie w zniszczonym, zaplamionym indeksie: pociągła twarz, ciemna czupryna, czarny wąsik. Nie ukończył Skubisz Wolnej Wszechnicy Polskiej, dopiero po wojnie uzyskał dyplom Uniwersytetu Łódzkiego ze specjalnością „historia z geografii”. Jeszcze świstek papieru zaświadcza, że Józef Skubisz jest urzędnikiem w Sędzišowie; różowa przepustka z „gapa” i odciskiem palca, zezwalająca na przejazd koleją z Lublina do Radomska.

Słyszał ten tupot, widział parade wejście do Austrii, znał los nauczycieli czeskich, toteż wbrew radom za-bezpieczył żonę i dzieci i wraz z od-wrotem wojska ruszył na wschód; na terenach zajętych przez wojska rad-dzieckie mundur wymienił na zżarty przez mole kożuch i dotarł do Lwo-wa, gdzie przez jakiś czas wykładał w gimnazjum, a potem, jako pastuch przeszedł z krowami granicę, lecz w tarnogrodzkiej karczmie ujęli go Niemcy i przywieźli do zgruzowane-go Tomaszowa Lubelskiego. Zaświad-czenie urzędnicze nie pomogło, po-szedł pod bagnietami do pijanego kó-mendanta miasta, który kopniakami i pięścią wyprowadził go na wolność; pracował jeszcze przy ładowaniu skór na stacji, aby ruszyć w końcu, za tą różową przepustką, do Radomska.



— Przeszedłem nocą posterunki żandarmerii na 18-kilometrowej trasie do Rzejowic okazując się... kopytkami; opiekunka dzieci zemściła na moim widok, chodząca w żalobie żona dostała ataku serca, gdyż obie, choć woźny szkolny wróżył, że żyję i obracam się wśród kobiet, co było prawdą, wódkę Baczewskiego piliem nawet we Lwowie, ujrzały nieboszczyka; dla ludzi z Rzejowic byłem zabity w Kamieńsku albo pod Warszawą, ponieważ kolega przywiózł do Radomia dokumenty, które zostawiłem w plecaku z napisem „Skubisz”, ubranie zresztą też, na wozie taborowym, rozbitym później przez bombę...

Powiat przelaty granicą, „Reich” i „Generalne Gubernatorstwo”, do przygranicznych lasów ciągnęli przesładowani ludzie, działacze społeczni, przesiedleńcy: konspiracja, AK, BCH, AL, trzeba było jednak wielu dowiadzeń, nim historia zlepiła nas w jedną bryłę, aż stanęliśmy we własnym szeregu; Skubisz też się w

tym gubił, nie zaprzecza, ale od początku działał w BCH, najstarsza córka, Krystyna, była łączniczką, żona, Bronisława, w 1939 poprzez „Zielony Krzyż” wyciągnęła jeńców z drutów, dostarczała odzież oraz żywność.

Toczyła się walka z podziemiem, strzelano do dzielących dworską ziemię, ale czy warto, mówi Skubisz, powielała to, co przekazywały już radio, film, telewizja, prasa i literatura, skoro w cieniu dramatu polskiej rewolucji drzemie jeszcze wiele spraw drobnych, wcale nie bohaterskich, a przecież nie mniej istotnych?

— Niemcy obżerali się polską świniną, srali wieczorami za stodolami, inni strzelali do tych strających, a ja przesiadałem trzy dni w ciupie, bo Niemcy myśleli, że to już początek rozruchów przed 11 listopada. Zaraz po tym zabrałem się do nauczania. Wycofano podręczniki geografii, języka polskiego, historii, ale można je było nabyć na Kiercelaku w Warszawie; chciano przerobić dzieci polskie na parobków, wprowadzając do szkół rolnictwo, lecz o maszynach, tubinie, rzepaku czytało się po polsku.

Ogłosiłem w gazecie niemieckiej, że poszukuję do własnych dzieci nauczyciela muzyki i łaciny, tym sposobem ściągnąłem do Rzejowic prof. Dąbrowskiego z Warszawy i w 1940 ruszyło moje tajne gimnazjum; książki w specjalnych skrytkach, raz strzelano do ucznia, wizytacja ministra

wędrowało do więzienia w Radomsku.

W 1943 r. połączone siły AK i GL oddobyły więźniów, został tylko Krogulec, zostałem go zsiniałego od bicia, w celi, do której trafiłem razem z Dąbrowskim, gdyż po wykonaniu, wyroku na ciotce „Warszyca”, jej mała córka powiedziała Niemcom, że u pana kierownika jest gimnazjum i profesor z Warszawy...

Hodowałem moriwę i jedwabniki, które oddawałem Niemcom, przesłuchujący był przekupiony, bił w mordę, ale i bronił, toteż tylko śledem tygodni przesiadałem w częstochowskim więzieniu; ciasno, stopy pod nosem współwieźnia, smród z nabitych słomą, trocinami, papierosów, pluskwy i wszy, każdy więzień musiał złapać na deseczkę i ukatrupić 50 pluskw; jeden za składkowy chleb czyścił otwór kibla, aby się nie zapchało, bo jak żeśmy nie zdążyli wysrać się w czasie, przepadała zupa ryżowa.

Zgłaszałem się na ochotnika do czyszczenia niemieckich ustępów, dzięki czemu mogłem dostarczyć kolegom trochę potów oraz znaleźć skrawki gazet ze strzępami wiadomości.

Fot. Archiwum

mości; już wtedy, proszę pana, nie myślało się o Londynie, lecz o Stalin-gradzie i Kursku, od 1944 zaczęła ukazywać się „Wola Ludu”...

Nie, po opuszczeniu więzienia nie dokonywałem bohaterskich czynów, ale miałem już kontakt z więźniami i raz w grupowym wierszu rozszyfrowałem nazwisko Klecki z Radomszczańskiego; nikt wtedy nie wierzył w uyciągnięcie więźnia z obozu, a przecież podpuszczony przeze mnie niemiecki wójt pojechał do Oświęcimia z bimbrem, kielbasą, z pieczątką za cholewą i wykrzykawszy, że zabrano mu najlepszego, silnego paroba, a ziemia ubożeje, przystąpił do bimbrowo-kielbasianych negocjacji, po których oddano mu Kleckę...

Pozostawiony sam na sam z dokumentami w pokoju hotelowym, długo w noc starałem się zrekonstruować atmosferę tamtych dni. Coraz bliższy i donioślejszy był huk armat na wschodzie, powstała Krajowa Rada Narodowa, tow. Bierut — „Tomasz”

przysła do Radomska tow. „Juliana” — Burskiego; z wolna, jeszcze w lęku przed represjami, jeszcze w nieufności, bo „wtyczki” wrogich ugrupowań, postępowało jednocześnie się frontu demokratycznego; organizowano do-wództwo AL, udzielano schronienia skoczkom radzieckim, działaczom politycznym, rannym partyzantom, wreszcie ten upalny, pogodny dzień 23 kwietnia 1944...

Niemcy przesunęli jarmark na

ŻYWOT

czwartek, do Radomska ciągnęły chłopskie furmanki, piesi i rowerzyści, niektórzy spośród tych ostatnich kierowali się do oficyny przy ul. Fabianiego 24; wchodzili do sieni i wypowiadając jakieś słowa do handlu-jącego wódką i kielbasą młodego człowieka, wdrapywali się na drugie piętro, mijali pokój, gdzie odbywało się pranie, potem drugi, zawalony na-rzędziami stolarskimi, aby w trzecim zasiąść za stołem.

Mieszkanie należało do Stefana Rybaka „Znachora”, jego syn — Józef — „Znachor Młodszy” robił dla pucu handel, odbierając jednocześnie hasła i rozprowadzając gości, którymi byli przedstawiciele AL, PPR, BCH, PPS ZWM, w sumie jedenastu, a wśród nich m.in.: Henryk Domagalski „Socha”, Roman Baran „Lis”, Franciszek Jarosz „Orzeł”, Józef Skubisz „Rozważny”, Henryk Wolski „Witold”, Edward Kubiak „Mietek”.

Przewodnicząc zebrania, Henryk Domagalski, mówił o przyszłym podziale ziem dworskiej przez chłopów, obiecu fabryk przez robotników, a jednocześnie sił wszystkich partii, ich organizacji wojskowej w obliczu nad-chodzącego wyzwolenia; przedstawili ciele stronnictw politycznych złożyli wspólną deklarację, popierającą współpracę z ZSRR i program spo-leczno-polityczny przyszłej Polski.

Tak odbyło się posiedzenie pierw-szej w województwie konspiracyjnej Powiatowej Rady Narodowej, której przewodniczącym został Józef Sku-bisz, jego zastępcą Baran, a sekretarzem Kubiak; po złożeniu ślubowa-nia, pieszo i na rowerach (a dziś, ba-nie, radnemu nie chce się jeździć sa-mochodem) ruszyli w teren, aby na zebraniach z chłopami, robotnikami, przygotować grunt pod przyszłe rady narodowe; londyńscy ustanawiali swoich wójtów, starostów, a on, Sku-bisz, pierwszy czerwony starosta, no-sił na plecach worki, rekwirując zbo-że dla obrabowanych chłopów i głod-nego Radomska, niszczył kwity kon-tingentowe, rozbił magazyny, orga-nizował komitety folwarczne.

Kiedy w noc z 16 na 17 stycznia 1945 r. do Radomska wkroczył Od-dział Wyzwoleny 52 Armii, konspira-cyjna rada powiatowa wyszła z pod-ziemia; organizowano MO, UB, rady gromady w Wielgomłynach, Dab-rowsie Zielonej, Kobieliach Wielkich, Przerabie, Rzejowicach i innych, nar-celowano ziemię, zakładano szkoły.

Wtedy, a może nieco później, ktoś z wysokiego szczebla powiedział, że jeszcze nie meldowano, jakoby Sku-bisz był tym pierwszym czerwonym starostą; wszystko się zszadzało, nikt bowiem nie trąbił, że Skubisz nim jest, gdyż pod bokiem siedział „War-szwa”, z Kieleccyżny spłynęli w ra-domszczańskie lasy zbikowcy z NSZ i dopiero w wolnej Polsce, jakby nie dość było wojny, polatała się krew w bratobójczej walce; dwiżył LWP nie wrócił jeszcze z frontu, wojska wewnętrzne dopiero formowano, ciężar walki ze zbrojnym podziemiem spoczywał na organach Milicji Oby-wateelskiej i Urzędzie Bezpieczeństwa; gazety pokryły się nekrologami, mno-żyły się nanady band KWP na po-sterunki MO w Kruszynie, Dobry-szyczach, Kobieliach Wielkich, wyko-nywano wyroki na peperowcach i

CHRYZANTEMY ZŁOCISTE, BUTELKI I OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 1

stołku siedząc w samochodzie. Ot-wierali drzwiczki, umieszczali nad nimi parasol, jeśli padał deszcz i poker trwał do rana. Stawki były wysokie i zróżnicowane. Czasem pie-niędzy, czasem pół litra, a czasem... wczasowe małżonki.

Wieczorami od pół namiotowych wiało erotyzmem. Brzęczały gitary i musztardówki. Płonęło ognisko. Spie-wano długo w noc.

„Chryzantemy złociste w kryształowym wazonie
Stoją na fortepianie.
Obok stoją sikaczki, bo nie można inaczej.
Nie stać nas za stypendia na caca choix”.

Aż pewnej nocy wszystko ucichło. Rano zobaczyłem kukłę ubraną w stare ciuchy, coś w rodzaju stracha na wróble. Pod nią leżał stos butelek, musztardówki, zniszczone trampki.

Zrozumiałem. Turyści ruszyli dalej, w Polskę.

Naprzeciwno „Albatrosa” rozlokował się ośrodek kolonijny. Do wczesnych godzin porannych ciszę nocną

kolonistów umilają dźwięki muzyki. Wychowawcy mówią, że po me-lodii doskonale orientują się, która godzina. Kiedy grają „Viva Espana”, wiadomo — piąta rano, kucharki wstają do pracy, śniadanie dla kol-onistów trzeba przygotować na godzi-nę ósmą.

W nocy, oprócz dźwięków muzyki, można usłyszeć inne — odgłosy pijackich awantur, soczyste dźwięki, jędrne przekleństwa.

Szczególnie mocno utkwiła mi w pamięci dziesięcioosobowa grupa wczasowiczów, może jakaś liczna ro-dzina, bo sześcioro dzieciaków wszy-stkich, bez wyjątku, tytułowało: cio-ci, wujku, tato, mamę. Myliłby się jednak ktoś, kto by pomyślał, że dzieci w tak licznej i zgodnej ro-dzinie były otoczone czułą opieką. Dorosli grali w karty, krążyła szkla-neczka i butelczyna, dzieciaki bie-gały beapafisko po plaży, zgłaszając się na chwilę po picie lub kanapkę.

Jeden tylko był natrętny. Stale krążył przy dorosłych, zaglądał w karty, przeszkadzał swoim natręctwem, drażnił — dziesięcioletni spa-ralizowany chłopak. Odpędzany per-manentnie i skutecznie szedł prosto w kierunku wody chwając się na no-gach, sztywnym krokiem kaleki. Pró-bował łazić po falochronie. Szło mu to ciężko i nieporadnie. Bałem się, że wpadnie do wody, ale nie — chwiał się, sztywniał, śmiał się gło-sno, potem szedł w kierunku plaży, szukał kontaktu z rówieśnikami. Nie znalazł go nigdy. Dzieciaki uciekały, a on, samotny, poruszający się jak kukielka, szedł w kierunku dziesię-cioosobowej rodziny, by dalej kon-tynuować swą bezowocną wędrowkę.

— No cóż, wczasy jak wczasy — zwierzyła mi się któregoś dnia wczasowiczka — wyżywienie przeciętne, trzeba się było dożywić. Instruktor-ka k-o, z wyglądu 16—17 lat, dziew-

pracownikach UB, krwią znaczyła się droga do tej nowej Polski.
Mówiono: „Stary, ty nie śpisz w domu”, doradzano: „Buduj się, ojciec, bunkry, i to w różnych miejscach”, ale Skubisz tłumaczył, że nie czas na chowanie głowy w piasek; nie wystraszył się i wtedy, gdy go Niemcy zdjeli z roweru, pedałującego 30 lipca na zebranie konspiracyjne wojewódzkiej rady narodowej, które odbywało się w gajówce w Podświerku

CZERWONEGO STAROSTY

Koło Ojrzenia; później, nie na próżno nosząc pseudo „Rozważny”, wymyślał się z zasadzek, gdyż syn wozilo go na teren na motorze leśnym, co dnia 7 rianianymi ścieżkami...

— Stałem się legalnym przewodniczącym PRN, ale byłem także nauczycielem ludowym, bez wahania więc przyjąłem jednocześnie funkcję inspektora szkolnego, wierząc, że poprzez szkołę można zatłucić wiele ważnych spraw w terenie. Pan za pewnie wiele książek o rewolucji rosyjskiej, powiem więc panu, że zakładanie oświaty w czasie polskiej rewolucji niewiele różniło się od tamtego w Rosji Radzieckiej. Żalą się na przykład w Gomulicach, że nie ma łokalu, jadę więc na miejsce i widzę, że sala jest, ale podłoga zasrana przez Niemców; stoją wokół chłopci i patrzą jak urzeczony w te słowa, to ja proszę o dwa szpadle, jeden daje soltowski, sam chwytam za drugi, wyrzucamy te kupa przez okna, po czym nakazuje, że kiedy wrócić za godzinę, sala ma być umyta!

W Cieleńskich nauka nie idzie, bo brakuje ławek. Namówiłem miejscowego stolarza-samouka, zrobił takie „koniki” z pulpitemi, rany boskie, jakie to było fajne, teraz taka ławeczka przydałaby się do naszego muzeum w Radomsku.

Albo wracam do urzędu i widzę, że facet uważnie czyta ogłoszenia; pytam go, ile ma klas, odpowiada, że siedem, więc wciągamy go do biura i proponujemy pracę w szkole; bronił się, bo on bez ubrania, liczna rodzina skreca się z głodu, a ja mu pokazuję dobijających się przez okna chłopów z batami, domagających się nauczyciela; sprzedałem im faceta za pieczywo, żywność, ubranie i szkoła ruszyła!

W łódzkiej wsi Pratkowice mianowałem nauczycielem chłopaka, który nie miał poświecenia, ale potrafił dobrze pisać, wyciągnąłem też z łóżka, zastraszonego widmem bolszewizmu, profesora gimnazjum, o kradzionym węglu nie nie chciałem słyszeć, grunt, żeby w szkołach było ciepło; tak uruchomiłem ponad sto szkół, z początku miałem nawet sporo nauczycieli, ale później puciekali mi w Polskę...

Raz, proszę pana, było zebranie, na którym ja, jako wiceprezes powiatowej SL, nie dopuściłem do głosu tych z PSL, zapobiegając rozbięciu zebrania; kiedy na pytanie, kto jest za Mikołajczykiem, połowa zebranych opuściła salę, a potem zaczęła wracać, stanąłem przy drzwiach i nikogo nie wpuszciliśmy; zaraz po tym na biurku w moim gabinecie znalazłem ten papier, na którym napisano, że mam zerwać całkowicie z peperowcami, bo inaczej — cza!

To był pierwszy wyrok od „Warszycy”. Balem się, wcale tego nie ukrywam, stałem się ostrożniejszy, lecz z PPR nie zerwałem i chyba dlatego, to było w 1946, otrzymałem od „Warszycy” drugi wyrok, grozący mi rozwałką, jeśli natychmiast nie opuszczę powiatu.

Ponieważ nie zastosowałem się do ostrzeżeń, „Warszycę” pragnąc mnie zjednać albo też skompromitować, sądził, że raczej to drugie miał na uwadze, przysłał mi „List żelazny”, zezwalający na swobodne poruszanie się bez groźby zatrzymania przez oddziały podziemia; jechałem kiedyś z działaczami partyjnymi do Koniecpola, głęboki, ciemny las, wszyscy chowają legitymacje, a ja w śmiech i mówię, że nic nam nie grozi, bo

mam list żelazny; był to, rzecz jasna, bluff, ponieważ ten list zaniosłem zaraz do UB i on tam sobie leżał spokojnie w aktach...

Wkrótce odechciało mi się śmiać, bo „Warszycę” skrupulatnie gromadził w walizkach dokumenty, toteż jak go ujęto, gdy mył się w mieszkaniu kochanki w Częstochowie, natrafiono w walizkach na odpis tego listu żelaznego; zrobił się szum, w prasie wielkie grzmoty, że przewodniczący PRN to wtyczka reakcji, agent na usługach bandy, a ja przecież nie miałem nic wspólnego z „Warszycem”, to on miał do mnie osobistą urazę, ponieważ mu się nie kłaniałem, no bo jakże to — nauczyciel uczniowi?...

W roku 1953 Józef Skubisz zostaje dyrektorem Publicznej Szkoły dla Pracujących w Radomsku.

Wybór starych fotografii: Skubisz z generałem Piotrem Jaroszewiczem, Skubisz otwierający obrady PRN, przyjmujący delegatów wyzwolenie Armii Radzieckiej, odznaczony przez Dąb-Kociola; kolekcja autografów przywódców państwa, dyplomy i odznaczenia. Tytuł Zasłużonego Obywatela Ziemi Radomszczańskiej, podziękowanie od H. Jabłońskiego za pracę w zawodzie nauczycielskim, Krzyż Walecznych (podpis prezydenta KRN — Bolesława Bieruta), Medal 10-lecia PRL, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Partyzancki, Honorowa Odznaka Woj. Łódzkiego, Złota Odznaka Szkoły Świeckiej, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, wreszcie to podziękowanie od Zjednoczenia Przemysłu Wyróbów Metalowych na zakończenie, w 74 roku życia, pracy nauczycielskiej...

— Budowałem też moją szkołę, postawiłem m.in. świetlicę, usprężyłem warsztaty, zwiększałem ilość klas; mówili o mojej szkole i mówią do dziś: „Uniwersytet Skubisza”, trochę żartobliwie, ale faktem jest, że wyszło z niej ponad sześć tysięcy absolwentów, znakomitych fachowców, którzy pozajmowali nawet dość eksponowane stanowiska w zakładach pracy; chłopaki, proszę pana, z biedniackich rodzin, zagubieni, nieporadni życiowo, ale tych właśnie, najczęściej chłopskich synów, ciągnąłem za uszy i uczyłem nie tylko fachu, ale i życia, bo to im było najbardziej potrzebne dla wyzbycia się kompleksów przyniesionych do miasta spod strzechy.

Zamyślił się Skubisz, w oczach takie błyski figlarności, uśmiech przeplątał przez twarz.

— Mówi się o chłopiejskim pomysłu, znaczy „coś na chłopiejski rozum”, to takie popularne, nie, a ja panu powiem, że chłop to jest mądry polityk, przekonałem się o tym już wtedy, gdy dudniły działa na wschodzie i szła nowa władza, którą chłopcy przyjmowali przychylnie, łatwo się z nimi było dogadać; byłem ja trzykrotnie u Bieruta, raz trafił się delegat ze szczecińskiego bez butów, więc Bierut mu dał te buty, a drugim znów razem wstał chłop i mówi: Panie prezydencie, nie należę do żadnej partii, przechodzę, żeby mnie wciągnę

nąć, ci z PPR i ludowcy, nawet ze Stronnictwa Pracy, ale baba nie pozwala mi się zapisać; ja myślę, że jestem wszystkim, i takim, i takim, bo przecież wszystkich żywię, czy to źle, panie prezydencie? Jak dźwigasz Polskę, to dobrze, mówię prezydent, chłop na to, że jego baba miała rację, skoro prezydent mówi, że wszystko w porządku.

Zauważyłem też kiedyś w Belwedrze, że jeden chłop siedzi za stołem i nic nie je, nawet szynki i pomidory nie skosztuje, więc pod koniec pytam, czemu on tak o suchym pysku, a ten odpowiada, że wkręcił się bez zezwolenia do naszej delegacji; córka chciała zostać doktorką, nie przyjęli jej na studia, więc on, doświadczywszy się, że to może załatwić tylko Bierut, wkręcił się do Belwederu i czeka na odpowiedź, już nawet gadał w tej sprawie i wszystko będzie załatwione...

Przez pięć kadencji Józef Skubisz był radnym PRN, nie tracił więc kontaktu ze wsią, jeździł po terenie i widział, jak w ciągu trzydziestoletniego uciekała ta wieś zamorzona, wieszająca całymi rodzinami u jednego krowiego ogona; zapadła w ziemię drewniane chałupy, rosły nowe murowane, wychodzili z nich młodzi do miast po naukę i pracę, upodabiali się do miastowych w stroju i zachowaniu, wracali już inni, ale też do innej wsi, gdzie pod klubem „Ruch” z telewizorem defilują rzyjące krowy, poganiane przez siedzących na motorach chłopaków.

Z okna domu przy ulicy Reymonta 52 śledził Skubisz odejście starego Radomska, miasta biednego, pozbawionego przemysłu; rozszerzyły się ulice — ruszyły nimi czerwone autobusy, ożyło w zieleni i kwiatkach zbuzzone przez lotników niemieckich centrum, powstały nowe zakłady przemysłowe, jak „Fameg”, „Komuna Paryska”, strzeliły w niebo stalowe konstrukcje hal „Mostostalu”; wynieśli się ludzie z przyciasnych fałcjatek do osiedla Tysiąclecia przy ul. Reymonta i osiedla zakładowego przy ul. 15 Grudnia, w pięknym gmachu PDK wystąpił Niemen i było coraz głębiej, wesoło, bo dzisiejsza młodzież lubi mocną rozrywkę...

— Pożeniłem wszystkie dzieci i grucham sobie z żoną, jak młode małżeństwo. Nie żał mi było odejść ze szkoły, gdyż moje miejsce zajęła najstarsza córka, Krystyna, dyktująca nie gorzej od ojca; syn Tadeusz, ten, który był w ZWM i wodził mnie na motorze po powiecie, jest głównym mechanikiem w Częstochowskiej Fabryce Maszyn; Andrzej pracuje jako adwokat w Tarnowie, a najmłodszy, Janek, też magister inżynier, w Fabryce Maszyn w Radomsku.

Wnuków mam sześciu i raz do roku puchną mi kolana od huśtania tych najmłodszych, bo w Wigilię wszyscy zjeżdżają do dziadków; wspominamy dawne dzieje, jest tradycja choinka, koledy i opłatek, ale prezenty już mniej tradycyjne, pieniądze w kopertach, proszę pana, czego ja się doczekałem na stare lata; najchętniej odwiedzałem syna w Tarnowie, ale tam się też wszystko przewracało do góry nogami. Jezioro Rożnowskie powstało, nad tym jezioro Andrzej ma swój domek, ale ja z niego mało korzystam; puszczałem się samopas nad Dunajec i w przybrzeżnych wiklinach, w ptakach i piasku szukam śladów mojego biednego, chłopiejskiego dzieciństwa, ale coraz trudniej mi je odnaleźć...

RYSZARD BINKOWSKI

czyna ładna. Stała piękne uśmiechy, rumienila się przy tym wdzięcznie. To miało swój niewątpliwie czar. Nie udało się jej jednak zorganizować żadnej wycieczki, autokar nawalił, za mało było zgłoszeń; innym razem znów pogoda przeszkodziła. Za każdym niewypałem, na drugi dzień podczas śniadania, tak miło i serdecznie przeproszała wczasowiczów, z tak głębokim poczuciem winy, że trzeba ją było uspokajać, żeby nie brała porażki aż tak serio.

Starosta, lat około 35, bardzo przyśtojny, tworzyli razem wymienitą parę. Wszyscy gdzieś po kątach pili, ale pijanych jakoś nie było widać, bo jedzenie donosili sobie do pokoi. Starosta powiedział mi, że u niego w pokoju po turnusie wczasowym było tylko trzydziści butelek, ale on mieszkiał skromnie, z kolegą.

Na zakończenie odbyło się uroczyste zapowiadane przez instruktorkę ognisko. Każdy uczestnik musiał obowiązkowo przyfargać jakąś

EWA BEKIER PAMIĘTNIK ZNALEZIONY na ŻUBARDZIU

Kiedy wprowadzaliśmy się do nowego mieszkania w pachnącym jeszcze świeżą farbą i nie wyschniętym tynkiem bloku przy ulicy N., na około ciągnęły się lany zboż, kartoflińska i ląki, gdzie pasły się krowy, a po zagłogach buszowały stadła kur. Wśród otaczających nas drewnianych parterowych domków z ogródkami w kwiatkach nasz blok sterczał samotnie jak bastion nowego świata, lustrujący okolice z wyżyn swoich czterech pięter. Z balkonu widać było puste rozległe tereny ciągnące się aż do toru kolejowego.

Wydawało mi się, że dostalam się jak na zesłanie, poza teren cywilizowanego życia. Nie było żadnego połączenia z miastem — do najbliższego tramwaju trzeba było maszerować różnym krokiem 15 minut, brnąć przez wertepy.

W jesiennych roztopach dostać się do nas można było tonąc po kolana w błocie. Goście przybyli na obławianie mieszkań, nieśli w rękach buty oblepione gliną. Wyglądało to nader humorystycznie i zabawnie. Jeszcze dziś wspominały te eskapady ze lżą rozrzuconymi w oku. To były czasy! A przecież to zaledwie 14 lat temu.

Nie ma już dziś łak i zagonów zbóż przed naszymi oknami. Po dwustrumieniowej jezdni, biegnącej tuż pod balkonem, ze zgrzytem hamulców, łomotem złączy, ogłuszającym hukiem motorów pedzą, mijając się długim sznurkiem ciężarówki, autobusy, tramwaje, samochody. Kiedy wychodzę na ten sam co przed laty balkon, szeregi wielopiętrowych budynków wciągają wzrok w głąb nowego miasta, co wyrosło przed naszymi i na naszych oczach, przesłaniając zupełnie widok połągi odmierającego nam niegdyś pory dnia.

W samym środku nowego miasta dziwnym trafem uchwalił się relikwiarz dawnej wioski leżącej na peryferiach Łodzi — domek szklarski. Mały, drewniany, z pochylonym gontowym dachem, ukryty w gęstwie jabłoni i dzikich gruszy, okalających żywopłotem ciasne podwórko.

Zakład szklarski istniał tu ponoć od niepamiętnych czasów. Niektórzy twierdzą, że powstał jeszcze przed I wojną światową, że należał ongiś do żydowskiego kupca łódzkiego, u którego obecny właściciel, Józef G., pracował jako czeladnik. Ile w tym prawdy — trudno dociec, bo sąsiedzi z parterowych domków dawno przenieśli się do nowych mieszkań, a pan Józef niechętnie o tym mówi.

— Panie Józefie, kiedy pan idzie na nowe mieszkanie? — dopytują się klienci.

— Mnie tam się nie spieszy — odpowiada niezmiennie pan Józef — jak przeniosła, owszem, nie mówię, chętnie pójdę, ale sam się napraszał nie będę.

— Ale czasami, w przypływie szczerości, lubi sobie pomarzyć głośno w obecności czekającego na naprawę klienta:

— Jak dostanę przydział do M-2, a może nawet M-3, zwinę warsztat i będę żył jak król, wygodnie, czysto, ciepło. Mogę już iść na emeryturę. Mam 50 proc. inwalidztwa, jeszcze z czasów wojny.

Trudno sobie wyobrazić naszą dzielnicę bez niepozornego domu zasłoniętego drzewami i kwitnącymi wczesną wiosną i bez jego właściciela, zawsze gotowego do usług, pogodnego, witającego z uśmiechem wchodzących.

Ktoregoś dnia zachorował nagle syn szklarski. Przybiegli pan Józef późnym wieczorem do nas, zdenerwowany i zmartwiony, za nie chciał wzywać pogotowia. Mał udzielił pomocy lekarskiej, chłopak szczęśliwie wyzdrowiał i od tej pory dątuje się nasza przyjaźń z panem Józefem.

Aż pewnego dnia, kiedy wybraliśmy się na popołudniową przechadzkę po Żubardziu, przyjaźń ta nieoczekiwanie zaowocowała. Postanowiliśmy wstąpić do pana Józefa, aby dowiedzieć się o jego zdrowie. Zastaliśmy gospodarza siedzącego samotnie nad szklanką wina.

— Tak czasem człowieka rozbierze — spojrzał przepraszająco. — Wspomnienia. Nie lubię wspomnień. Ale same przychodzą nieproszone.

— Ten warsztat stał — ciągnął — jak moja pamięć sięga, tu gdzie dziś, od lat. Należał do łódzkiego Zydaw, Dawida K. Pracowałem u niego przed wojną. Miał syna w moim wieku — Jakuba. Razem odnosiliśmy szyby na zamówienie, pomagaliśmy w warsztacie. Zylismy jak bracia. Moją rodzicę byli daleko na wsi, w domu nowała bieda, oddalił mnie na naukę zawodu. Stary ojcował nam obu. Pamiętam go zawsze w długim, czarnym chalcie do pięci i rytualnej jarmulce.

Kiedy w końcu roku 1939 Łódź stała się Litmanstadem, mieliśmy z Jakubem po 17 lat. Warsztat uchwalił się nie zniszczony przez okres wrześniowej wojny i zaczął funkcjonować normalnie. Zdałowa się, że nikomu nie będzie zaważać.

W parę dni później znaleźli się obaj — ojciec i syn — w baluckim getcie. Zostałem sam, wyrosteek, przerażony nagłym odejściem moich przyjaciół, nie wiedząc co z sobą począć.

Nie wiem, w jaki sposób udało im się wydostać z drutów — ciągnął swą niespodziewaną opowieść dalej. — Ktoregoś ranka, przed samym świtem, przyszli tu zabrać niektóre rzeczy. Był z nimi jeszcze jakiś nie znany mi osobnik chudy, kościasty. Wszyscy trzej wyneźniali i błądzi, o zacierwienionych oczach, spojrzeliu pełnym rezygnacji i rozpacz, kręcili się po mieszkaniu jak obezy. Baliśmy się spojrzeć na siebie. Naradzali się szybko. Planowali ucieczkę do Guberni — rysowali trasę marszu. Trzęsącymi rękami wyciągali galgany, przewracając bezzwłocznie sterę łachów. Słowa nie chciały nam przejść przez gardło. Szarzało, gdy wymknęli się niosąc tobołki najpotrzebniejszych rzeczy. Nasłuchiwałem w ciszy odgłosy ich kroków.

To nie trwało długo. 15. może 20 minut, kiedy rozległy się strzały. Kiedy wyprzedem z domu, grupka ludzi stała na „wzrosowych górkach”, przytupując się leżącym. Podszedłem bliżej. To byli oni.

W pewnej chwili z przerażenia dostrzegłem, że pierś leżącego chłopca poruszyła się lekkim oddechem, drgnęły powieki. Nagle otworzył oczy, spojrział spłoszonym, wylekłym wzrokiem na mnie, jakby się obudził z przerażającego snu. Zerwał się na równe nogi i, znanym zdążyłem otworzyć usta, pognął jak szalony w stronę zagajnika.

— I co, uratował się — zapytałam po chwili.

— Eee, szkoda gadać. Zamyślił się, zapatrzył w dal przez zaponiałe szyby.

— Tak tu siedzę od lat na swoich starych śmieciach, a Wielka Łódź wyrosła nie wiadomo kiedy. Zdaje mi się jakbym był w środku nowego życia, a sam pozostał w tył. Szklarz z wioski koło Łodzi... Nie już tutaj nie przypominaj przybłądkielki wioski Żubardz nad brzegiem rzeki Balutka.

— A wie pan — powiedziałam nagle, aby przerwać jego zadumę — nasz blok ma już prawie 14 lat! Stary jak Żubardz. Za rok pora mu już chyba na jubileusz.

— No, to wypijmy już teraz za ten jubileusz, za naszą nową Łódź!



Foto: Włodzisław Malek

ry przyszedł popatrzeć jak się miastowi bawią.

8.

Wczasowicze bawią się „wspaniale”. Najlepiej żony bez mężów, mężowie bez żon. Kawalerowie i panny też. Prawie wszyscy preferują wypoczynek „aktywny”: rajdy po kawiarniach, knajpach, dąsani, gry towarzyskie, organizowane na miejscu przez instruktorów aktualnie zwanych kulturalno-rozrywkowymi.

Czy jednak o takim wypoczynku marzymy? Chyba nie.

Jak zatem wytłumaczyć nasze zachowanie, nasze powszechne wypinanie się na „prowincjonalne obezaję”? Jak to się dzieje, że spokojni i pracowici ludzie nagle zmieniają skórę i postawę? Czyżby anonimowość, jaką daje pobyt z dala od rodziny, domu, pracy, znajomych tak łatwo pozwalała zmieniać się człowiekowi?

Odpowiedź na to pytanie może dać sobie każdy z nas, kto pobawił się tego mokrego lata nad morzem czy w górach.

EDWARD BRYL

Zawsze miałem wstręt do profesorów matematyki. Jednakże ten poznany na wakacjach był wyjątkiem. Wysoki, szpakowaty, szczupły lecz silny, sprawiał niezwykle sympatyczne wrażenie. Kiedy się uśmiechał, wyglądał jak młody, rozbrzykany chłopak, mimo że od kilkudziesięciu już lat był profesorem uniwersytetu.

Przypadek zrzucił, że zamieszkałszy razem w Młynie położonym wśród borów. Ja przyjechałem na wakacje z narzeczoną. Profesor z żoną. Spotykaliśmy się kilka razy dziennie w ołbrzymiej, lśniącej czystości kuchni. Z plecakiem na ramionach, spinningiem w dłoni, zastawał nas przy śniadaniu — mówił kłaniając się — Dzień dobry państwu. Ja zaś pytałem niezmiennie — Jak udało się połowić, panie profesorze? Odpowiadał różnie w zależności od dobowości. Z pustymi rękami wracał raczej rzadko. Raz był to okon, to znów łosoś albo lipień. Żona jego, elegancka pani, lubiąca prowadzić z bliźniakami długie rozmowy, które można by raczej nazwać monologami, słownie modulując głos pytała — Stachu, jajecznicę i mleczko, czy herbatkę ci podać? — Mleko, tylko proszę wyparzyć kubek wrzątkiem. — Stachu, mówisz jak bym tego od trzydziestu lat nie pamiętała.

Po czym profesor szedł na górę do pokoju przebrać się, a pani profesorowa przygotowywać meżowi śniadanie raczyła nas opowiadaniem. „Moi państwo, kiedy byłem piękna i młoda chciałam zostać aktorką lub śpiewaczką. Brałam nawet lekcje śpiewu u znanego profesora, jednak rodzina orzekła, że woli widzieć mnie w trumnie niż na scenie”.

Spojrzałem na narzeczoną, profesorową, zaś spytałem: — Cemuż tak?

Uśmiechając się wzdychając przeżywała jajecznicę na patelni.

— Widzicie, mamusia uważała, że aktorka i kobieta to... dość lekkich obyczajów jedynymi drogami chodzą. Zakrzusiliśmy się znakomitym wiejskim chlebem. Narzeczoną zaś stwierdziła lakonicznie, że to dość oryginalny pogląd.

— Nie myślcie, że decyzja rodziców powstrzymała mnie przed karierą artystyczną. Tym bardziej, że profesor śpiewu twierdził stanowczo, że mam ołbrzymi talent, piękny timbre głosu i właściwą aparycję.

Westchnęła.

— Brał 25 złotych za lekcję, więc można mu było uwerzyć.

— Jasne — powiedziałem — ma pani bardzo piękny i bardzo donośny głos.

Na to wszedł do kuchni głuchy jak pień, blisko stułeni dziadek. Usiadł przy oknie. Drzącymi, sekatymi palcami włożył do cygarniczki połówkę „Sporta”. Podał mi ogień, a pani profesorowa nachyliła się i zaryzała:

— Dziadek już po śniadaniu?

Starzec ani drgnął. Natomiast my z narzeczoną podskończyliśmy na ławie. „Faktycznie ma głos” — pomyślałem z uznaniem.

— Ja i dziadek świetnie się rozumiemy — ciągnęła nieczym nie żona profesorowa. — Kiedy zostajemy sami w domu śpiewam dziadkowi. On bardzo lubi. Prawda dziadko?

Starzec niewzruszony patrzył gdzieś daleko przed siebie prawie białymi oczyma.

Wszedł profesor.

— Proszę, Stachu, siadaj i jedz.

Popatrzył na żonę jakby z ciekawością.

— No, Helu po to zszedłem — powiedział i zabrał się do jedzenia.

— Panie profesorze, czym pan łapie te ryby, tylko na spinning?

— Na Brdzie i Czarniej Strudze należy łowić tylko na spinning, takie są przepisy. Zresztą uważam to za bardziej atrakcyjną formę wędkarstwa.

— Ale widziałem — wirałem — że łowią na zwykłe wędkę, na robaka albo komara.

— To kłusownicy — odpowiedział — Pamiętam te rzeki dziesięć lat temu. Ryb było zatrzęsienie. Jednak przez niewłaściwą gospodarkę, kłusownictwo, rybołówstwo zaskarżając się zmniejsza.

Pokiwał ze smutkiem głową.

— Nigdy nie łowiłem ryb. Czy nie zabrał bym pan profesor kiedyś na połów — poprosilem.

— Dobrze. Kiedy tylko pan sobie życzy. Ostrzegam jednak, że skutecznego wędkowania nie ręczę, a wstać trzeba bardzo wcześnie.

Wziąłem narzeczoną za rękę i wybiegliśmy na dwór.

Pojechaliśmy nad jezioro. Wśród starego boru było cudownie. Byliśmy sami nie licząc stada wodnych kurek

— Pani profesorowa postawiła przed mną talerz kartofli z sadzonym jajkiem i szklankę masłanki.

— Helu, czy wyparzyłaś naczynie wrzątkiem?

— Oczywiście Stachu.

Profesor wytarł serwetką widelec i zabrał się do jedzenia.

— Zrobiłam ci kartofelki, jajeczko sadzone a masłanka świeżutka.

Profesor odłożył widelec, popatrzył na żonę i spokojnie powiedział.

— Widzę, Helu.

— No, jakże — zwrócił się do mnie — idziemy jutro na ryby?

— Świetnie! O której?

— O czwartej pobudka. Proszę nie zapomnieć o gumowych butach.

— Nie zabraknie niestety.

— Pożyczę panu moje zapasowe. Który numer pan nosi?

— Siedem, no... osiem.

— Tak, będą trochę za duże. Noszę jedenastkę.

— Nie szkodzi, skoro innych nie ma — zbagatelizowałem problem.

— Włóż pan grube skarpety — doradzała profesorowa.

Skąd grube skarpety latem na wakacjach, ale nie już nie powiedziałem z obawy, że pożyczę mi także skarpety.

Tego wieczoru położyłem się wcześniej spać i szybko usnąłem mimo chrobotu myśli rodzinny mieszkającej pomiędzy sprężynami leżanki na której spałem.

Skoło świtu obudziło mnie delikatne pukanie do drzwi. Wstałem pośpiesznie. Wciągnąłem dzinsy, sweter, skarpetki i ołbrzymie gumy profesora. Kiedy zszedłem na dół profesor stał już w pełnym rynsztunku. Popatrzył na mnie.

— A nakrycie głowy?

— Nie mam.

Podał mi ciemnozieloną „oprychówkę” identyczną, jaką sam nosił. Włożyłem ją na głowę i poczułem się nobilitowany.

— Idziemy?

— Idziemy — odparłem.

kreśla się wzdłużnie wokół własnej osi.

— Marysiu — krzyknęła — niech Marysia będzie łaskawa poprosić pana profesora na obiad.

Dziewczyna postawiła wiadro z mlekiem i powiedziała:

— Ano idę, chociaż profesor i tak zara będzie.

— Maż w trosce o moje zdrowie — kontynuowała monolog pani —

— W trosce o naturalne środowisko człowieka, Helu — usłyszeliśmy niespodziewanie głos profesora.

Zakrzusiliśmy się masłanką, jednak groźne spojrzenie narzeczonej przewołało mnie do porządku. Kątem oka zauważyłem że i ona z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

— Stachu, będziesz jadł obiad?

Równym krokiem, płaszczyzną drogą wchodziliśmy w bór. Chłód przejmował dotkliwie. Dymia nisko wisząca mgła. Nawet ptaki śpiewały słabo. Ostre, rześkie powietrze czuło się przy oddychaniu aż w żołądku. Szliśmy leśnym dukiem w kierunku Brdy. Zaczęliśmy sobie wyobrażać, że jesteśmy Robin Hoodem a może partyzantem? I już, już zaczynałem śpiewać — „Dziś do ciebie przyjść nie mogę, czeka na mnie leśna brzoza”. Przypomniałem sobie jednak w porę o profesorskim i naturalnym środowisku człowieka.

Podczas marszu po piaszczystej, pełnej kłopotów drodze, skarpetki zsunęły mi się z nóg a gumy zaczęły obcierać gołe kostki. Nie przynależałem się jednak do cienkich skarpet.

Maszerowaliśmy już chyba godzinę. Minęliśmy drogę z tablicą: „Ostoja

niewyparzonego pyska. Zarzućmy plecak i omijając chłopca podchodźmy bociana. Profesor uchylił czapki i powiedział:

— Przepraszamy, gospodarzu. Szkoda tracić nerwy w taki piękny ranek. Chłop jeszcze chwilę coś mruczał pod nosem i zamknął.

— Tego gospodarza przezywają „Dzik”. A jego dom na wzgórzu „dzikówka”. Mamy szczęście, że jego dwaj synowie siedzą w więzieniu. Za bójkę. Inaczej dostalibyśmy łanie. To postrach okolicznych wsi, kajakarzy i wędkarzy.

Nie odzywałem się, bo ciągle jeszcze byłem zażenowany moim zbyt ostrym wystąpieniem.

Doszlśmy w końcu do Brdy. Wila się wśród zieleni ta piękna, rwąca rzeka z jasnym piaszczystym dnem. Pełne wykroty brzozy i pochylone nad nimi olchy potęgowały wrażenie dziewiczości rzeki.

— Tutaj srobuujemy.

Profesor zdjął chusteczkę z kołosa wrotka. Z blaszanego pudełka okrętego gumka wydobyl blstkę w kształcie rybki. Zamachnął się wzdkiem i zrecznie zarzucił blsteczki prawie na drugą stronę rzeki. Wolno w skunieniu nawijał kołowrotek.

— Nie — powiedziałem.

— Nie — przytaknął.

Wolno, raz po raz zarzucając wędkę szliśmy w górę Brdy. Podziwiałem zrecznie i celne rzuty spinningiem. Ciągłe jednak „nie nie brało”. Profesor zmieniał co jakiś czas przynętę. Parę razy żyłka zaplątała się w gąszczu podwodnych roślin, aż za którymś razem urwała się. Zaczęłam narzekać na stratę. Profesor skwitował to krótko:

— Taka już dola wędkarza. Strata kalkulowana w potencjalny zysk.

Ryby nie brały dalej.

Robimy odpocznik i śniadanie. Po czułem głód. Jednak przynosiłem sobie, że nie wzięłam nic do jedzenia. Profesor wyciągnął z plecaka dwie pajdy chleba z masłem.

— Rybkę będziemy jednak mieli — powiedział i rozwinął pergamin z którego wyglądały apetycznie dwa kawałki smażonego szczupaka. Zaczęliśmy jeść popijając gorącą herbatą z termosu.

Po śniadaniu nowoderowaliśmy dalej w górę rzeki. W zakolu gdzie woda z szumem przelewała się przez leżące w poprzek kłody, profesor wszedł na kolana w rwący nurt i zarzucił blstkę. Z rezerwacją natrętem jak haczyk z przynętą podjechał z nowotrem do profesora. Nagle jak błyskawica ryba wyskoczyła i chwyciła blsteczkę. Profesor poderwał. Szybko nawijał kołowrotek. Na końcu srebrzyła się rybka.

— Lipień, ale nie wymiarowy — profesor odparł zdobyc z haczyka i wrzucił do wody.

— Wsunąłbyś ten atak ryby — powiedziałem szczerze zachwycen.

— Warto było iść tyle kilometrów, żeby to zobaczyć.

Ja też tak uważam.

Znow borem wracaliśmy do domu. Zadowolony nogwidzwałem słone grzało jak glunie, las pachniał. Kiedy wyszliśmy na drogę zobaczyliśmy zbliżając się samochód. Zatrzymał się przed nami. Za kierownicą siedział Ala.

— Cześć.

— Czuwał.

— Jak połów?

— Świetnie, chociaż nic nie złowił.

— A ty dokąd?

— Na żurawiny.

— No to jedź. Powodzenia.

Ala nie odjechała.

— Znakomicie nanowię wysładacie. Tak właśnie powinni wyglądać prawdziwi mężczyźni.

Snoirzałem na profesora, on na mnie i nie wiadomo dlaczego wyprostował się.

Prawdziwi mężczyźni w naturalnym środowisku człowieka.

Z PROFESOREM NA RYBY

(OPOWIADANIE)

ANDRZEJ SROCZYŃSKI

ŚMIERĆ W WERONIE

Można zaryzykować tezę, że Szekspira najmniej dziś znają w jego własnej ojczyźnie. Anglikowi dwudziestego wieku pewnie kłopoty może sprawiać szesnastowieczny język oryginalny. Jest to ten sam opór materii, którego doświadczają polscy uczeni, gdy mu każą w szkole czytać Reja czy Kochanowskiego. Brzmi to może paradoksalnie, ale czytelnicy i widzowie dramatów Szekspira spoza angielskiego obszaru językowego znajdują się w korzystniejszej sytuacji. Trud uczytelnienia archaicznego języka wzięli tam na siebie tłumacze. Dzięki pracy translatorów Szekspir stał się własnością całego świata. Jest to zapewne inny Szekspir, ale Szekspir oryginalny jest praktycznie niedostępny dla każdego spoza grona specjalistów. Zrozumienie Szekspira zawiądzamy w Polsce romantyzm, a zwłaszcza Słowackiemu, który wprowadził do swoich dramatów świat ponadmysłowy przenikający się z realnym. Ale poznał największego dramaturga wszystkich czasów zawiądzamy u nas przede wszystkim wysiłkowi Paszkowskiemu i Ulricha, którzy w dziewiętnastym wieku przełożyli całość jego scenicznego dorobku. Tak dobrze, że mimo upływu ponad stu lat przekłady te brzmią świeżo i, jak uważa większość szekspirologów, najlepiej oddają klimat oryginalny.

A przecież nie brakowało próż za kwestionowania ich przydatności — po prostu nowe, jeszcze staranniejsze orace translatorskie. Jest to zrozumiałe, gdyż

każda generacja stara się na nowo odczytać klasyków, a uniwersalność Szekspira wprost prowokuje do takich wysiłków. Ale stare przekłady wytrzymały wszystkie ataki i nie daly się zepchnąć ze sceny. Pomimo to „stary” Józef Paszkowski nie jest już monopolista w polskich teatrach, przybył mu po przeszło stu latach konkurent — Jerzy S. Sito, emigrant z Anglii. Jego społeczność Szekspira, choć atakowane zaciekle przez Bohdana Drozdowskiego, zdobyły sobie prawo obywatelstwa na scenie — zwłaszcza „Hamlet”, który przez blisko dwa lata nie schodzi z afisza teatru im. Jaracza w Łodzi. Obecnie na specjalne zamówienie tego teatru Sito zaprezentował swoje społeczenie „Romea i Julia”.

W porównaniu z tłumaczeniem „Hamleta” przekład ten technicznie „czystszy”, a i siła poetyckiego wyrazu nie dorównuje Paszkowskiemu. Dość zastawić taki czterowiec „Prologu” w starym przekładzie:

„Lecz gdy nienawidzę pierś ojców pożera, Fatalna miłość dzieł ich — ledwoży i krewa wojna, co z wieków się toczy, W cichym ich grobie na wieki umiera.” (Paszkowski)

z porobą podjętą przez Sito:

„W mroku śmierci leża tam kochankowie — owoc ledziw wrogich;

w gwiazdy wpisany gorzki wyrok nieba rozwikłał nagle ich splecione drogi. I wrogów domów skłóconych porzebał”.

Można zgodzić się z Sitą, że stary przekład powstał w konwencji postromantycznej, która nie ma nic wspólnego z manierizmem epoki elżbietańskiej właściwej językowi Szekspira, ale trudno jednocześnie nie zauważyć, że epitet „owoc ledziw wrogich” obcy jest zarówno duchowi oryginału jak też polszczyźnie.

Wytyskając te potknięcia stylistyczne i kłopoty poetyckie trzeba jednocześnie zwrócić uwagę, że Sito jest w swojej esencji interesującym komentatorem dramatów Szekspira i te interpretacje stara się przenieść do swych społeczeń. Jest w tych przekładach prężność świadomości krytycznej nad walorami poetyckimi, ale jest w nich jednocześnie precyzja interpretacyjna. Nie dziwi mnie więc, że Jan Maciejowski za mówił u Sito nowe tłumaczenie „Romea i Julia” i że zaufał mu bez rezerwy pozwalając sobie narzucić już nie tylko językowe, ale także teatralne odczytanie dramatu. Bowiem jako reżyser mający za sobą takie szekspirowskie realizacje jak „Otello”, „Ryszard III”, „Henryk IV” i „Hamlet” rozgrywane w tej samej niemal scenografii Zofii Wierchowicz, co zrodziło określenie „machina do grania Szekspira”, stanął Maciejowski przed szczególnie trudną próbą. Musiał przezwyciężyć własne nawyki i schematy poszukując w kolejnej realizacji już nie tyle nowej jakości, ile nowych środków wyrazu, jakby unikając podejrzenia o pastisz i powielenie dotychczasowych doświadczeń. Może dlatego właśnie w inscenizacji „Romea i Julia” zabrakło

już „machiny do grania Szekspira” i zobaczyliśmy nową, choć nawiązującą do poprzednich, scenografię Krystyny Zachwatowicz.

Nie była to zresztą jedyna innowacja spektaklu. Swego „Romea i Julia” wyposażył bowiem Maciejowski w muzykę Piotra Herli i wprowadził na scenę narratorkę śpiewającą szekspirowskie sonety (Andrzej Herder). Był to może zabieg dość ryzykowny, ale zgodny z klimatem przedstawienia, bowiem reżyser postawił w nim na widownię jakby założony sobie, że dramat pomiędzy dwójkiem młodych z domu Montekich i Kapulekich trzeba odczytać z czułości, której nie brakowało w scenicznym tradycji tej sztuki. Poszedł tu Maciejowski za wskazówką Sito, który we wstępie do autorskim do społeczności wskazuje na rys stylizacyjny „Romea i Julia”, na wyraźną cezurę manieri pomiędzy dwoma pierwszymi aktami dramatu a jego finałem. Takiemu widzeniu sztuki podporządkował też reżyser rytm narracji scenicznego pozwalając sobie na zabiegi, które najkrócej określić można jako egzaltację interpretacyjną: stał też tyle w tym spektaklu biegania, wrzawy, fęchtanki. O ile dobrze zrozumiałem Maciejowski próbował dokonać na ten sposób jakby projekcji uczuć Romea na zewnętrzny podzóradowując jej porządek scenicznego a jednocześnie składowy ekwiwalentu dla wyrafinowanej formy szekspirowskiej frazy poetyckiej. Stworzyło to spektakl żywy, ale pozbawiony jakby drugiego dna. Maciejowski uwalnia wprowadzić w ten sposób miłość od skonwencjonalizowania, ale pomniejsza ją o całą metafizykę, która była zawsze najmocniejszą stroną „Romea i Julia” i uczyniła dramat, który rozegrał

się w Weronie ponadczasowym i uniwersalnym. Romans Romea i Julia w takiej interpretacji zaciekawia, ale nie wzrusza, raczej bawi niż wzrusza mimo wysiłków Krystyny Zachwatowicz, który przy swej urodzie i inteligencji aktorskiej wprost stworzony jest do odzwierciedlania roli Romea. Nie dziwnego, że w tym przeobrażeniu chwyty stylistyczne reżysera nie zawsze wzrusza nas także Janina Sokolowska jako Julia, która mimo swego niewielkiego doświadczenia scenicznego dowiodła wielkiego talentu aktorskiego. Raz jeszcze sprawdziło się, że elementarne ale przecież najlepsze przeżycia człowieka, reakcja na śmierć i miłość, wymagają prostoty wyrazu a wszelka stylizacja odbiera im prawdę wzruszeń najpiękniejszych i przydaje fałsz. Toteż chociaż pozostali aktorzy, zwłaszcza zaś Jan Tesarz jako Kapulet, Antoni Lewek w roli Montekich, Stanisław Kwasiński jako Tybalt, Jerzy Przybylski jako Ojciec Laurenty wreszcie Bożena Darlakówna (Pani Montek) i Alicja Zomer (Pani Kapulet) oraz Ewa Mirowska jako Niania wnoszą do spektaklu dojrzały warsztat scenicznego — spektakl pozostawia uczucie jakiegoś braku pełni. Jest zapewne ciekawy jako próba odczytania dramatu na nowo, ale jednocześnie odrzuty z liryzmu, którym „Romea i Julia” od pokoleń wzruszają widzów.

KONRAD FREJDICH

William Shakespeare: „Romeo i Julia”, społeczny Jerzy S. Sito, reżyseria Jan Maciejowski, scenografia Krystyna Zachwatowicz, muzyka Piotr Herli, układ walki: Waldemar Wilhelm, premiera w Teatrze im. Jaracza w Łodzi w czerwcu 1974 r.

INTERNATIONAL
HERALD TRIBUNE

„ŚMIAŁA IDEA“

Zupełnie niedawno rodzina moja dowiedziała się z zachwytem o ostatnim „cudzie ekonomicznym”. W pierwszej chwili wydawało się, że mamy do czynienia ze, szczytowym osiągnięciem ekonomiki od czasu wysunięcia popularnego hasła „igrzysk i chleba”.

Dopiero po otrzymaniu rachunków w końcu miesiąca, stwierdziłszy, że wszyscy przedsiębiorcy, którzy dostarczyli nam cokolwiek na kredyt zdarli z nas przeciętnie od 15 do 20 dolarów więcej niż w ubiegłym miesiącu. „Jak to tak?” — spytałem pewnego wybitnego ekonomistę. W tym miesiącu otrzymałem tyle samo towarów i usług co w ubiegłym, a mimo to płać za to po dziesięć, piętnaście, a nawet i dwadzieścia dolarów więcej niż poprzednio!

Ekonomista wyraźnie był rozbrojony moją naiwnością. „Ależ to proste!” — wykrzyknął. — Po prostu przeniesiono w ten sposób ciężar wydatków. Kiedy rosną straty przedsiębiorstwa, szuka się możliwości przeniesienia ich na kogokolwiek innego. W rezultacie nikt do tego interesu nie dopłaca!”

Kiedy przy kolacji przekazałem rodzinie całą nabytą wiedzę — zaplanowałem ogólne wzburzenie. Żona oznajmiła nawet, że jeżeli nadal będziemy zmuszeni płacić tak wygórowane rachunki, trzeba się będzie wyrzec mięsa albo wyłączyć energię elektryczną.

Wyjaśniłem, że podobne oświadczenia dowodzą, jak bardzo moi domownicy zostają w tyle za myślą ekonomiczną, która nakazuje przetrwać wzrost cen na kogoś innego.

Rodzina uspokoiła się i wszystko było w porządku do końca miesiąca, kiedy okazało się, że wydatki przekroczyły nasze dochody o 200 dolarów. Zatelefonowałem więc do ekonomisty, z którym konsultowałem się poprzednio i zasięgnąłem rady na kogo można by je przenieść. Dowiedziałem się, że chyba pójść w piętkę, bo żeby móc przerzucić wzrost cen musi istnieć w systemie choćby jeden element nie mający już na kogo przenieść ciężaru wydatków.

Domownicy zdołali ze złości gdy oznajmiłem im, że możliwości przeniesienia ciężaru rosnących cen skończyły się na nas.

Kiedy dokładnie im się przyjrzałem powtórnie zatelefonowałem do ekonomisty i poinformowałem go, że idea „przerzucania wydatków” jest ogromnie zajmująca ale należy ją rozwinąć dalej. Według mego projektu na przykład rachunek otrzymany z koncernu energetycznego za zużycie prądu elektrycznego — przesłać na powrót nadawcy. Elektrownia więc będzie musiała oddać go towarzystwu naftowemu lub kompanii węglowej, a te z kolei przekazać niezdolizowanym rachunkom bankom, które puszczają go dalej, aż wreszcie trafi na tego kogoś, kto pierwszy zaczął zabawać się przekazywaniem sobie nawzajem strat. I w ten sposób wszystko pozostanie na swoim miejscu.

Kiedy znakomity ekonomista wysłuchał powyższej propozycji wyjaśnił, że nauka jeszcze na razie nie jest przygotowana do wprowadzania w życie tej śmiałej idei.

I co teraz robić?

R. B.

Tłumaczył B. P.

Bizantyńscy i Turcy, powódzie i pożary nie zdołały zniszczyć Wenecji. Robią to dziś sami Włosi.

Śmiertelne niebezpieczeństwo skradła się do miasta ze wszystkich stron, zagraża — jak nigdy dotąd — jego 900 palcom, 105 kościołom i 400 mostom łączącym 118 wysp. Wenecję podmywa morze, jej zabytkowe budowle rozkłada zanieczyszczone powietrze, osiada nawet ziemia, na której miasto stoi. Niestety, najgorszym wrogiem Wenecji jest człowiek.

Postępująca ruina „najpiękniejszego miasta świata”, jak nazwał Wenecję poeta Gabriel d'Annunzio, wzbudza niepokój w całym świecie. Wszak starożytnym piękem Wenecji zachwycali się nie tylko lord Byron, Ryszard Wagner, Fryderyk Nietzsche i Tomasz Mann; to zabytkowe miasto jest także dziś miejscem pielgrzymek milionów ludzi z całego świata.

Przez szereg lat w parlamencie włoskim roztrząsano „ustawę o ochronie Wenecji”, ale różnica zdań między miłośnikami sztuki a zwolennikami przemysłu była tak wielka, że sprawa odłożono ad calendas Graecas. Ale kiedy w powietrzu zapachniało miliardami lirów ustawę przyjęto pojeżdżanie szybko.

„Tereny miasta Wenecji oraz jego laguna — czytamy w ustawie — są rejonem o niezwyklej wadze państwowej. Republika Włoska gwarantuje pomoc temu rejonowi zarówno w planie historycznym, jak i archeologicznym, włącznie z przywróceniem hydrologicznej równowagi laguny a także gwarantuje podjęcie kroków w celu usunięcia przyczyn niebezpiecznego zanieczyszczenia powietrza i wody oraz ochrony życiowych potrzeb tego rejonu w sensie socjalno-ekonomicznym.”

Ten słowny fajerwerk był preludem do jednej z największych spekulacji naszych czasów, ponieważ — jak się okazało — Wenecja nie otrzymała ani grosza. Gdzie podziały się pieniądze — tego nie udało się wyjaśnić nawet najbardziej wszechświatom dziennikarzom włoskim. Na łamach prasy przewinęły się dwie wersje. Według pierwszej miliardy zostały wydatkowane na inne cele, gdyż rzymska biurokracja nie była w stanie opracować konstruktywnego planu uratowania Wenecji. Według drugiej wersji sprawa przedstawia się jeszcze gorzej: kredytów użyto do podtrzymania kursu suchotniczego lira włoskiego. Ta wersja wydaje się bardziej prawdopodobna, ale dotąd dokładnie nikt niczego nie wie — rzad włoski umie chronić „tajemnicę milczenia”.

Tymczasem cała ta historia odbiła się fatalnym echem daleko poza granicami Włoch. Londyński „Times” wysłał nawet specjalnego korespondenta do „Złotego Miasta”. „Pierwszoplanowy problem Wenecji polega na tym — pisał korespondent tej gazety — żeby obronić się przed rzadem włoskim i miejscowymi władzami”. A niemniej oburzony „The Guardian”

zażądał nawet wprowadzenia do miasta wojsk ONZ. „Times” z kolei rozdział przeprowadzenie zbiórki środków pod hasłem „Korupcja w imię Wenecji”. Wyjaśniając sens tej dewizy gazeta pisała, żeby za zebrane tą drogą pieniądze przekupić polityków, urzędników i członków mafii, aktywizując ich do działania na rzecz Wenecji.

Nigdzie w świecie interesy miłośników zabytków architektonicznych i magnatów przemysłowych nie są tak sprzeczne jak tutaj, na wybrzeżu Adriatyku. Wszystko zaczęło się w 1917 roku, kiedy włoski hrabia Giuseppe Volpi di Misurata zaczął forsować budowę zakładów przemysłowych na brzegu laguny w rejonie Marghera. Po drugiej wojnie światowej zaczęły tu, jak grzyby po deszczu, wyrastać kominy fabryczne, ogromne rezeruary i kilometrowe systemy rurociągów. I tak usadowił się tutaj największy kompleks naftowy we Włoszech: 200 rafinerii nafty oraz innych zakładów przemysłowych, zatu-

tego czasu, podczas każdego przypływu, do basenu laguny trafia dodatkowo 30 milionów m. sześcienn. wody. Już dwadzieścia lat temu trzeba było zabezpieczyć piwnice licznych domów i pałaców, nieustannie zatapiane podczas każdego przypływu morza.

Obecnie właściciele fabryk noszą się z zamiarem pogłębienia toru wodnego kanału Malamocco do 40 metrów głębokości. Ponadto wyłoniło się nowe niebezpieczeństwo dla miasta: przemysłowcy zamierzają wydobywać gaz ziemny z dna basenu laguny. „W okolicach Roviro — pisze Montanelli — wydobywanie gazu spowodowało opadnięcie gruntu o metr. Dla Wenecji oznaczało by to zupełną katastrofę.”

W ciągu ostatnich 50 lat miasto przeżyło 46 powodzi. W Wenecji nie ma transportu samochodowego, ale w wąskich uliczkach i nad laguną unosi się równie ciężki smog, co i w zatłoczonym autami Mediolanie. Z rejonu przemysłowego na lądzie wlecie wiatr nisko nad laguną i kanałami kłęby

się nie usunie głównych przyczyn zniszczeń. Trzeba by podnieść poziom wód gruntowych, żeby powstrzymać osiadanie ziemi w mieście i jego rejonach. Na brzegach laguny należałoby wybudować śluzy, chroniące Wenecję od przypływów morza. Ale przede wszystkim należałoby wybudować oczyszczalnię wody, która jest przerażająco brudna. Odpady chemiczne z fabryk, odchody z kanalizacji i śmiecie odprowadza się wprost do laguny. Przypływy leniwie przetaczają to gigantyczne cuchnące śmietnisko.

Magnatów przemysłowych mało obchodzi problemy Wenecji. Większość z nich nie jest w ogóle związana z miastem. Mieszkają nie w Wenecji, lecz na kontynencie. Rezydencje firm, w których mnożą pieniądze, są w Mediolanie i Turynie. Tam też pozostają osiedli podatku i dlatego, między innymi, Wenecja nie rozporządza własnymi środkami finansowymi, które można by przeznaczyć na określone cele. Zresztą jeśli nawet czasem otrzymuje miasto jakieś fundusze, to wskutek niesłychanego chaosu nikt nie wie, co z nimi zrobić...

W XVI wieku mieszkańca Wenecji, który czegoś zanadbał, co naraziło miasto na szkodę lub niebezpieczeństwo, po prostu wieszano. Zgodnie z ustawami średniowiecznymi, jak utrzymuje pewien holenderski ekspert, całą obecną radę miejską Wenecji spotkałby ten sam los. Ale dzisiejsi weneccjanie pogodzili się ze swoją dołą. Wielu nie chce już mieszkać w domach będących wprawdzie cennymi zabytkami architektury, ale o ścianach omszałych i wydzielających stęchlą woń wilgotnych piwnic. Już od dawna trwa wielka migracja ludności. W ponurych, ale zaopatrzonych w łazienki i ubikacje, betonowych wieżach w przemysłowych aglomeracjach: Marghera i Mestre, które jeszcze nie tak dawno były przedmieściami miasta, mieszka dziś dwa razy więcej ludzi, niż w Wenecji. Port w Wenecji ma być rozbudowany do drugiego, co do wielkości, portu w Europie.

Wenecja morzu zawdzięczała swoje bogactwa i swoją potęgę. Handel solą zapoczątkował gromadzenie kapitałów. Było to 700 lat temu. Później na weneckich kuców i magnatów pracowało 40 tysięcy jucznych zwierząt, 3 tysiące statków i 30 tysięcy marynarzy. Stalki budowano metodą montażu gotowych części. Dokerów protestujących przeciwko zbyt niskim płacom za ciężką pracę, nagradzano konopnymi krawatami! „podobnie jak niewygodnych dołów. Nawet od Krzyżowców, wsiadających na statki w Wenecji, umieli weneccjanie wyciągać pieniądze. Doża Enrico Dandolo mówił do nich: „Wzmocnijmy waszą flotę pięćdziesięcioma uzbrojonymi galarami w imię miłości do Wschodniego, ale pod warunkiem, że jak zdobędziecie nowe łady i pieniądze, jedną połowę otrzymamy my, a drugą wy”. W konsekwencji Wenecja zdobyła polityczną i ekonomiczną kontrolę nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego i dominowała przez pewien czas nad Konstantynopolem.

Tak było. A dziś, gdy gondoliera Sandro Pesaro z Wenecji zapytano czy wierzy, że jego rodzinne miasto ma szansę na przetrwanie, odpowiedział: „Taka sama szansa, jakbym chciał przebywać moją gondolą po suchym lądzie...”

JERZY CZECH

PERŁA ADRIATYKU

SKAZANA NA ZAGŁADĘ?...

dniających dziś ponad 40 tysięcy ludzi. Tylko naftowo-chemiczny gigant włoski „Montedison” zainwestował tutaj ponad 500 milionów dolarów.

Wraz z narodzinami tego zespołu przemysłowego zaczęła się agonizacja Wenecji. Włoski pisarz Indro Montanelli, dla którego uratowanie Wenecji i skandale wokół miasta stały się głównym tematem jego twórczości ostatnich lat, tak opisuje mechanizm niszczenia miasta: „Fabryki i powstające wokół domy mieszkalne toną w brudnej wodzie. Wydobywa się ją z wnętrza ziemi i stopniowo wodonośne warstwy wysychają a grunt osiada. Badania wykazują, że ziemia osiada około dwa milimetry rocznie. Ale ja wiem na pewno, że osiada pół centymetra rocznie...”

Warto do tego dodać, że jednocześnie, wskutek topnienia arktycznych lodowców, poziom morza podnosi się wolno, ale nieustannie. Wenecja nigdy nie podejmowała prób zapobiegania temu zagrożeniu miasta. Nie odnawiano nawet urządzeń ochronnych. Ten lekkomyślny stosunek do jednego z najbogatszych i najcenniejszych zespołów zabytkowych we Włoszech nie jest jeszcze najgorszym złem. W obliczu największego niebezpieczeństwa stanęło miasto po wybudowaniu kanału Malamocco. Ma on 14 metrów głębokości i umożliwił statkom oceanicznym, omijając Wenecję, wpływać przez dółkę Lagunę Wenecką do strefy przemysłowej. Od

czarnych trujących dymów. Codziennie przywozi się stamtąd do szpitali robotników z objawami zatrucia. Wiele zapadło na choroby płuc.

W Wenecji wszystkie budynki pokrywa warstwa pleśni, wszystkie są w stanie postępującej ruiny. Co roku wilgoć i chemiczne wyciechy zakładów przemysłowych niszcza 6 procent marmurowych rzeźb, 5 procent fresków i 3 procenty bezcennych płócien mistrzów malarstwa. Według danych UNESCO, 450 zabytkowym pałacom, 200 historycznym budynkom i 147 unikalnym obrazom grozi kompletne zniszczenie.

Technicy i konserwatorzy od dawna przemyśleli metodykę oceny gwałtownych zabytków architektury i sztuki, które do dziś zachowały swe urzekające piękno. Ale do tego są potrzebne pieniądze.

Bardzo złożonym problemem okazały się próby oceny i ratowania słynnego kościoła św. Marii, z końca XV wieku. Systematyczne powodzie mocno uszkodziły lombardzki marmur, z którego kościół zbudowano; woda przeziła go w wielu miejscach. Konserwatorzy przeprowadzili bardzo kosztowną operację: zapieczętowanie i rysy w marmurze mieszcząc mikrocząsteczkę gumy i specjalnej substancji cementującej. Obecnie kościół jest względnie „zdrowy”.

Przeprowadzenie podobnych prac konserwatorskich w innych zabytkowych obiektach nie ma sensu, jeśli

Zgromadzenie Narodowe. W tym drugim przypadku byłaby to kwestia miesięcy, ponieważ wybory przewiduje się najwcześniej na koniec br.

Jeden z dzienników greckich napisał ostatnio, że monarchia nie byłaby już użyteczna dla Aten. „Nawet jeśli prerogatywy królewskie będą ograniczone do minimum — sama idea konstytucyjnej monarchii przeciwna jest demokracji i podkopuje jej instytucje”. Trudno nie zgodzić się z tą konkluzją.

Przenieśmy się teraz na dużą odległość — do Waszyngtonu. Afera Watergate wciąż daje pożywkę prasie amerykańskiej do rozważań sytuacji Nixona. Już za niecałe dwa tygodnie Izba Reprezentantów ma rozpocząć dyskusję nad tzw. impeachment. Jeśli postawi ona prezydenta w stan oskarżenia — jego proces toczyć się będzie przed senatem. Nixon, jak można wnioskować z doniesień z Waszyngtonu, jest dobrej myśli. Sądzi, że będzie mógł skutecznie odeprzeć zarzuty.

Jest charakterystyczne, że przy tej okazji ujawniają się wszystkie złożoności sytuacji gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Wewnętrzny problem stał się przede wszystkim inflacją. Mówi się o niej jako o ciężkim brzemieniu.

Raz jeszcze zmieniły dziś kontynent, aby skomentować informacje agencji o zmianach rządowych w Etiopii. Wydarzenie nie zasługiwałoby

na podjęcie go, gdyby chodziło tylko o zmianę jednej ekipy na drugą. Obecna rozłada ma jednak głębszy sens — cesarz Haile Selassie zmuszony został do tej zmiany pod naciskiem armii, która w ślad za studentami i nauczycielami zażądała głębszych reform. W tym miejscu musimy wyjaśnić, że Etiopia jest blednym krajem, który dodatkowo zubożony został kilkuletnią suszą. Śmierć głodowa zbiera więc tam obficie żniwo.

Zreformowanie rządu nie rozwiązuje problemu. Nieliczne zamożne rodziny nie łatwo zrezygnują ze swoich wpływów. Mimo to ostatnia zmiana gabinetu uznana została za początek historycznego przełomu w tym kraju. Etiopia wchodzi na drogę przemian społecznych, które mogą być zakreślane, ale chyba są już nieodwołalne.

Do kalendarza minionego tygodnia wprowadzić trzeba jeszcze jedno ważne wydarzenie. Oto nastąpiło zawieszenie broni między armią portugalską a Frontem Wyzwolenia Mozambiku. Od tego momentu — oświadczył tymczasowy prezydent Portugalii gen. Spínola — „Jesteśmy gotowi rozpocząć proces przekazywania władzy narodowi Gwinei-Bissau, Angoli i Mozambikowi”. Innymi słowy następuje początek końca ostatniego systemu kolonialnego. Co oznacza to dla Afrykańczyków, podporządkowanych dotąd panowaniu Lizbony, nie trzeba wyjaśniać.

W. ŚLAWSKI

► NA CYPRZE I W GRECJI ► POŻYWKA DLA PRASY USA ► NOWE NA KONTYNENCIE AFRYKAŃSKIM

Sytuacja na Cyprze, którą trzeba określić jako chwilową, utrzymuje zainteresowanie tą wyspą. W środku lata jest to właściwy temat nr 1 światowych komentarzy. Wydarzenia rozgrywają się nie tylko, a może nawet nie przede wszystkim, w tym małym kraju. Scenami cypryjskich wydarzeń są Nowy Jork, gdzie zbiera się w tej sprawie Rada Bezpieczeństwa oraz Genewa, Ateny i Ankara.

Trójsonne porozumienie, jakie osiągnęli ministrowie spraw zagranicznych W Brytanii, Grecji i Turcji i w sprawie Cypru, jest niewątpliwie krokiem naprzód, lecz ograniczonym. Przyszłość wyspy będzie tematem kolejnych rokowań, których celem są polityczne rozwiązania. Ta faza dyskusji może być trudna, ponieważ strona turecka, jeśli wierzyć doniesieniom, ma domagać się ustroju federalnego. W Atenach panuje więc przekonanie, że genewskie porozumienie trójsonne nie jest zadowalające i może otworzyć drogę do podziału wyspy. Podobnego zdania jest Makarios.

Problem Cypru jak już pisaliśmy, ma szerszy aspekt. Dostatecznie czytelne są zamierzenia określonych kół NATO, którym nie odpowiada niezangażowanie Cypru. Kosztem niepodległości wyspy chciałby one umocnić swą pozycję wojskowo-strategiczną na wschodnim obszarze Morza

Śródziemnego. Byłoby to naruszenie pewnej istniejącej równowagi i mogłoby zaszkodzić procesowi odprężenia. Dlatego problem cypryjski — powtórzmy to raz jeszcze — ma wymiar daleko przekraczający wybrzeża wyspy.

Kiedy piszemy o Cyprze — przychodzi nam myśl Grecji, której polityczne zmiany są następstwem również tamtego kryzysu. Warto więc w przeglądzie wydarzeń zarejestrować nowy fakt: przywrócenia w Grecji konstytucji z 1952 roku. Jest to bowiem zarazem anulowanie zasadniczej ustawy z 1968 roku, która przed kilkunastu miesiącami była nowelizowana przez dyktaturę wojskową. Powrót do konstytucji z 1952 roku nie ma trwałego charakteru. Przed greckim parlamentem stoi zadanie opracowania nowej konstytucji, jednak odrzucenie ostatnio obowiązującej jest aktem dużej wagi politycznej — otwiera możliwości przywrócenia swobód obywatelskich. Jak one zostaną wykorzystane — pokaże czas. Trwające procesy są obiecujące, dają Grecji szansę demokratyzacji życia. Ciągłe jednak nie jest rozstrzygnięcia kwestia czy do Aten powróci monarchia. Obecny premier — Karamanlis nie jest zaliczany do rojalistów, ale rozgłasza, że ostatecznie o tym, czy król Konstantyn odzyska tron, ma zdecydować bądź referendum, bądź przyszłe



PARIS MATCH

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Ponieważ ostatnio tyle się mówi o Rodzinie — słusznie zresztą, bo jest to najmniejsza komórka społeczeństwa, wydaje się, że warto sięgnąć w jej kwestii nie tylko do żurnalu pt. „Magazyn Rodzinny”. Pismo to szalenie odważnie zerwało z tradycją mieszczańską „Ty i Ja”, który już w samym tytule był nieco podejrzanym. „Ty i Ja” miało znaczenie bardzo dwuznaczne. „Ty i Ja” mogło na przykład oznaczać: „tata i pan Ernestynka”, jak w tym popularnym wierszu Gałczyńskiego:

„Słiczny jest świat
gdy brata kocha brat (...)
Kuzyna i kuzynkę
a tatę pannę
Ernestynkę
lecz i mamusię owszem,
także (...)”

Tytuł „Magazyn Rodzinny” znaczy już — bez wątpliwości — że żadna panna Ernestynka nie wchodzi w rachubę. No i bardzo dobrze.

„Ale przecież, jak się rzekło, tradycje rodziny nie zaczęły się od żurnalu „MR”. Były grubo, grubo wcześniejsze. Aby więc tę lukę w tradycji uzupełnić, pragnę zaprezentować czytelnikom broszurkę Jana Mrowińskiego Płoczyńskiego pt. „STADŁO MAŁEŃSKIE”. Publikacja

PROBLEMY RODZINNE

cja jest dostojna i nobliwa, wydano ją bowiem w 1961 roku. Tak jest! W drugiej połowie XVI wieku.

Imię pan Płoczyński powiada, że małżeństwo „postanowione i rozkazane jest dla rozplodzenia się Pann Bogu ku chwale a Rzeczypospolitej ku pożytku”. Tak, tak — pod tym względem nie się nie zmienia i nie straszy nam włoski profesor Perucci, który kombinował coś tam z próbówką i białkiem ożywionym. Wkrótce zresztą okazało się, że to lipa i ludzkość, chcąc nie chcąc, pozostała przy metodach konwencyjnych.

Dzieło Mrowińskiego-Płoczyńskiego czyta się ciężko, bo to przecież polszczyzna sprzed ponad 400 lat. Ale prawdy tam zawarte nieraz są aktualne. Oto, co pisze autor „Stadła małego” o ludziach, którzy się żenić nie powinni: „Dwój stan ludzi wyjęty od małżeństwa może być wyzwoleniem. To jest jedni, którzy dla młodego przyrodzenia po temu nie są...”. Pewno, z mdłym przyrodzeniem nie ma co komu i sobie głowy zwracać małżeństwem.

Dalej — wywodzi imię Płoczyński: „zimni, dzieci, karłowaci, głupi, szalen, niemocni, albo chorzy, ułomni, waleśkowici...”. Trochę dyskusyjna jest ta lista. Waleśków — dzieci nie żeniłbym — to jasne, ale szalo-

ny? Albo głupi? Nie przesadzajmy.

Nie przewidział natomiast XVI-wieczny autor dzisiejszego matriarchatu. A że ów matriarchat jest faktem — nikogo z żonatych przekonywać nie trzeba. Bo oto, co pisał imię Płoczyński:

„Mał jest głową żony swej i pierwszej stworzony, nie dla żony, ale żona dla niego. Przeto żona, gdy się przytrafi, tedy ma męża pocieszać, usługując mu, dobre nadzieje dodawając, tużając lepszą fortunę, a wszystko ku lepszeniu obowiązuje a prawie szczęście życiowe przyrzekając (...). Niech to na pamięci mają żony, iż dla pomocy mężów swych i dla męża są stworzone...”

„Ale imię pan Płoczyński życie znał, więc się zaraz zastrzeżę: „wyjąwszy iżby mał był jak basalik — (...) jako był chłop głupi...”

Tak pisało 400 lat temu. „Magazyn Rodzinny” też się od tradycji nie odcina przypominając „Poradnik małżeński” dr. Wilhelma Lubelskiego, który swoje dzieło napisał w 1862 roku, czyli równo 300 lat po książeczce Jana Mrowińskiego-Płoczyńskiego. Różnice są zasadnicze. Autor XVI-wieczny, jak widać, głównie teoretyzował. Autor XIX-wieczny zajął

się praktyką. W jednym z rozdziałów pisał na przykład o „sztuce płodzenia pięknych dzieci”, doradzając łącznie się mieszkalców wsi z mieszkalcami miast oraz zalecając... Mula-tów jako „oznaczających się niepospolitym rozwojem sił fizycznych”. Nie wiem, czy ówczesne, czytelniczek poradnika dr. Lubelskiego z tego zalecenia korzystały. Podaż Mula-tów była wówczas w Warszawie niewielka.

Na odpowiedzialność autora „Poradnika” podajemy historię z rozdziału o pielęgnacji niemowląt: „królowi Henrykowi IV dziadek jego bezpośrednio po przyjeździe na świat dał kilka tyków wina i natął usta czosnkiem...”. Z czego, moim zdaniem, wynika tylko jeden wniosek, że dziadek Henryka IV był po prostu na bańce, a niemowlę było na szczęście końskiego zdrowia.

Trochę to wszystko zabawne, ale nie piszę o tych książeczkach dla płochej zabawy. Dziś również wydaje się różne poradniki i broszurki instruktażowe — i one za sto czy dwieście lat będą śmieszyć naszych prawników. Śmiejąc się z autorów zesłowiecznych, uczmy się sceptyzmu wobec współczesnych mądrości i prawdy.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

STO LAT!

Największym marzeniem ludzi, najgorętszym życzeniem dla osób ukochanych było zawsze jak najdłuższe życie. Święci pustelnicy, zapatrzeni w szczęście pozagrobowe, wyrzekający się wszelkich uciech tego świata, nie wyrzekali się przecież życia doczesnego — robili co mogli, żeby je przedłużyć: leczyli się ziołami, smarowali zajęczym skromem, obmywali w siarkowych krynialach. Twardowscy i Faustowie duszę zaprzędzali piekłu za przedłużenie życia, wielcy bogacze i magnaci wymyślali w tym celu niestworzone historie, wspaniali sobie gruczoły małp, pił mleko kobiece, oddawali fortuny szariatnikom za jeszcze jedną próbę, jeszcze jedną nadzieję.

Powoli, niezmierznie powoli, różne odkrycia medyczne i inne przedłużyły i przedłużają nadal średnią długość pobytu osobnika naszego gatunku na ziemi. Odpadają jedno po drugim zagrożenia, czyhające dawniej, złagodzzone warunki, bytowania pozwalają trwać także osobnikom słabszym i całkiem słabym — stąd średnia rośnie. Nie znaczy to, że ci silni są silniejsi niż kiedykolwiek. To tylko ci słabsi uzyskali „handicap”, lepszą szansę: stąd rośnie średnia. Ale to przecież bardzo dużo — wszyscy, każdy z nas, ma lepsze szanse żyć dłużej. Marzenie pokoleń wreszcie się realizuje.

I od razu zaczynają się odzywać zaniepokojone głosy: starzeje się ludzkość. Rocznie starzeje się ludzkość, coraz większą część populacji. Według niektórych obliczeń demograficznych w Anglii w 1981 roku ludzie powyżej 75 lat będą stanowili 13 procent ludności, a ludzi ponad 60 lat będzie więcej niż młodzieży poniżej dwudziestki. „Ludzie o starszych mózgach i starszym sposobie życia będą tworzyć stale wzrastającą grupę mieszkańców ziemi. Jest to perspektywa przerażająca...”

Znowu źle: przerażająca perspektywa! Nie ma już rodzin wielodzietnych. Liczba kobiet zbliża się do liczby mężczyzn, zresztą radykalne przemiany obyczajowe sprawiają, że nikt nie chce być samotnym starszym panem, poświęcającym się opiece nad starymi rodzicami. Kto ma przeżyć zatem tę opiekę?

Paręset lat temu w swym utopijnym dziele — „Państwo Słońca” — prorokował Campanella, że w idealnym przyszłym społeczeństwie jednostki niezdolne do życia będą z własnej woli popelniać samobójstwa, a czyn ten będzie otoczony powszechną czcią i szacunkiem. Dziś odzwierają się tu i ówdzie głosy zalecające eutanazję czyli zaaplikowanie przez kogoś z otoczenia bezbolesnego środka usmięcającego. Przeciwni tym głosom podnoszą się natychmiast jakieś słuszne protesty: przecież eutanazja byłaby jeszcze jednym narzędziem przewagi silnych nad słabymi, młodych — nad starymi!

To wszystko jest potworne. Czy tak miała wyglądać realizacja marzeń o długowieczności?

Aleksander Rogalski w swej „Nowej konstelacji” cytując francuskiego uczonego, profesora Rene Dubosa:

„Chętelne chwalenie się przedłużeniem spodziewanego w chwili urodzin okresu życia nie jest całkiem słuszną... Nie wiem, ile lat ma profesor Dubos i czy ma dzieci. Jeśli ma i jeśli pó ich przyjeździe na świat marzył o tym, jacy to z nich wyrosną dzielni ludzie, — jeśli nie dopuszczał do siebie ani myśli o tym, że szanse jego dzieci na przeżycie paru lat są jak jeden do ośmiu a tak było przez setki, setki lat! — to jest uczonym niekonsekwentnym.”

Zamiast urabiania wzorców moralnych, otaczających czcią samobójców, lepiej chyba urabiać takie, które każą szanować ludzi słabszych i starszych, ułatwiać im i upiększać życie. Ludzkość będzie się starzeć, oczywiście. Kto nie chce się starzeć, powinien umrzeć młodo. Czy ludzkość powinna umrzeć młodo? Populacji będzie się zmniejszać, że pogorszą się wskaźniki ekonomiczne, że trzeba będzie pracować na darmożniadach i że to smutna perspektywa dla młodzieży. Ta młodzież ani się obejrzysz, a już przejdzie do kategorii emerytów, czas bowiem leci szybko. Rzeczywiście, trochę później kupia sobie samochód, szesnastą parę butów, ósmy garnitur mebli i rzadszej rasy psa. Za to będą się tym wszystkim dłużej cieszyć, pozostając tu, między żywymi. To zysk największy i nie dający się z niczym porównać, nieczym zastąpić życie. Dłuższe życie.

Oczywiście — nie trwanie w rozpaczliwym, zniechęcającym stanie zgrzybiałej starości. Mówimy o przedłużającym się życiu, takim, które pozwala — choćby z nieuniknioną poprawką na gorzej funkcjonujące zmysły — dostrzegać urok świata i cieszyć się tym światem, na który nas nikt drugi raz nie przywoła.

Sto lat, kochani! Żyjmy dłużej!

ĆWIEK

DZINSY

Co robi współczesny Polak — niezależnie od wieku i poziomu wykształcenia — kiedy wybiera się na wakacje?

Odpowiedź: — Współczesny Polak — niezależnie od wieku i poziomu wykształcenia, kiedy wychodzi na wakacje, biega po sklepach; robiąc zakupy.

Poszedłem do sklepu i poprosiłem: — Chciałbym kupić spodnie z „texasu” dla siebie.

Paniąka spojrzała na mnie i powiedziała tonem autorytatywnym: — Dla pana spodni nie ma i nigdzie pan ich nie dostanie.

Koniec, kropka. Ale nie wierzyłem. W „Centralu” — a to przecież magazyn — do którego „powinno” wystarczyć wejść z portfelem, aby wyjść dokładnie ubranym — potraktowano mnie zupełnie zaskakująco.

— Ile pan ma w pasie? — zapytała mnie tamtejsza paniąka. — Nie wiem — powiedziałem pełen rozpaczy, bo jakże nie przyszło mi do głowy zmierzyć się w pasie.

Po dłuższej dyskusji okazało się jednak, że nawet gdybym wiedział, ile mam w pasie, to i tak na nic by mi się to nie zdało, gdyż „Central” wyszedł z założenia, że najwyższy mężczyzna w Łodzi ma tylko 170 cm wzrostu. A zupełnie przypadkowo mam 182 cm. I z tego to powołała spodni dla mnie nie ma.

Termin wyjazdu zbliża się nieubłaganie, i w ostateczności pojadę na urlop w spodniach sztucznych. W końcu, co to za różnica. Mam wprawdzie jeszcze jedno wyjście, mogę kupić sobie spodnie narciarskie, ale mimo wszystko nie zrobię tego. Spodni narciarskich będę prawdopodobnie bezskutecznie szukał zimą. A niech tam!

Moja potyczka z handlem byłaby tylko moją cichą klęską, gdyby właśnie w tym czasie nie ukazał się w „Życiu Warszawy” artykuł Danuty Zagrodzkiej pt. „Dzinsy po polsku”. W artykule tym autorka przypomina, że właśnie przeżywamy na świecie renesans tkanin typu „texas” i „welet”, że trzy wielkie firmy zagraniczne: „Wrangler”, „Lee” i „Levis” — a w gruncie rzeczy jest ich znacznie więcej — szują popularne spodnie, które i u nas można kupić w sklepach PKO. Dzinsy — lepsze, gorsze — szują również firmy krajowe. W Warszawie przed „Juniosem” ustawia się kolejki, aby kupić takie spodnie, kiedy tylko dojdą na domotowarową ładę. No, ale to wszystko mi już wiemy, choćby stąd, że czasem sami chcemy kupić takie spodnie i mamy z tym wiadome kłopoty.

„Ale Danuta Zagrodzka przypomniała nam coś jeszcze. Przypomniała nam — łodzianom — oczywiście — że jednym krajowym producentem tkanin typu „texas” i tkanin welwetowych jest łódzka „firma” — Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Szymona Harnama, mieszczące się na rogu ulicy Kilińskiego i Północnej. Wybrała się ona do Łodzi, na ulicę Kilińskiego z dużym bagażem pod adresem zakładów i na miejscu musiała ten bagaż zostawić. Okazało się bowiem, że „Harnam” nie tu nie jest wieniem. Pokazano publiczność „Życia Warszawy” projekty, od których jej „oko zbłądziło”, jak sama to przyznaje. I pokazało jej sterty różnych tajemniczych druków, po wyjaśnieniu których okazało się, że „Harnam” produkuje, proponuje, a handluje nie wszystko, przyjmując, a ludzkie... Ale o tym już było na początku.

U „Harnama” przez trzy lata pracowano nad „texpolem” — tkaniną ścieralną. Proszę uściśnić nie mylić z papierem ściernym, bo nie ma z tym nic wspólnego. Według mody „młodzieżowej” prawdziwe dzinsy powinny być rzetelnie powycierane. Modniści kupują więc dzinsy w PKO, placą za to dość słono, następnie piorą je w różnych proszkach, trą pumeksem i innymi kamieniami, aby dzinsy były solidnie wytarte na kolanach i siedzeniu. Otóż „texpol” jest tkaniną — jak zapewniają producenci — która sama się wytrze w noszeniu i otrzymuje taką fakturkę, jaką mają pumeksem wytarte dzinsy. Poza tym u „Harnama” wymyślono „zantex” — odmianę „texasu” z aksamitnym połyskiem. I co? I nic.

„Ale tutaj chciałbym wrócić do łódzkiej geografii i przypomnieć trzy fakty. Pierwszy — w Łodzi jest „Harnam”. Drugi — w Łodzi jest Centrala Tekstylno-Odziewowa. Trzeci — w Łodzi jest Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego oraz Centralne Laboratorium Przemysłu Odzieżowego. Wystarczy? Wystarczy. Ale okazuje się, że nie. I tu wracamy do starej prawdy, opisanej już setki razy, krytykowanej, a mimo to ciągle funkcjonującej. Dla wszystkich tych instytucji i przedsiębiorstw, które powołano do obsługi klienta czyli nas — istotne są ich sprawy wewnętrzne, a nie — wydawałoby się — rzecz tak prosta — interes odbiorcy. Myśląc logicznie — wszyscy, którzy mają coś wspólnego z dzinsami, widząc rosnącą konkurencję na ten typ wyrobu tekstylnego, powinni się skrzyknąć, spotkać się w jednym miejscu i podjąć szybkie, a skuteczne działania, aby odpowiedzieć na społeczne zapotrzebowanie. Przecież dziś w dzinsach chodzi i profesor wyższej uczelni, dyrektor na urlopie oraz jego dwoje dzieci, o dzinsy pytają panie, które starają się być zawsze w kursie mody, dzinsy noszą aktorzy, dziennikarze, pi-

MARCIN RODAK

SPORT

Telewizja Polska przyzwycała nas do „przeżywania tego jeszcze raz”. Mamy więc okazję od czasu do czasu obejrzeć sobie wielkie sportowe wydarzenia, które już widzieliśmy, możemy to przeżyć jeszcze raz, nacieszyć się tym, co było i powszominać sobie troszkę. Te wielkie sportowe wydarzenia dają też powód do publikowania obszerniejszych materiałów, ukazujących je już w historycznym tle. I oto Wydawnictwo „Sport i Turystyka” wydało książkę, która powinna wszystkim uradować. Wydało „Wielki finał”.

Jak się każdy łatwo domyśli, jest to książka o piłce nożnej. Jest to książka o piłce nożnej i udział Polaków w finałowych rozgrywkach w Monachium. Jedną tylko różnicą „Wielki finał” traktuje o meczu na monachij-

WIELKA KLAPA

skim stadionie, ale nie w 1974 roku, a — tu zaskoczenie dla Czytelnika, który jeszcze „Wielkiego finału” nie czytał — w 1972 roku. Tak. Książka traktuje o finałowych rozgrywkach na Olimpiadzie w Monachium w 1972 roku.

Wiem, jesteśmy gorsi. Niezwykle, bo to samo wydawnictwo, czyli „Sport i Turystyka” wypuściło na rynek książkę Kazimierza Górskiego „Z ławki trenera”, która przedstawia wydarzenia piłkarskie również już po meczu na Wembley. Książka złożono do druku w lutym 1974 roku, a druk ukończono w maju 1974 roku. Wydawnictwo „Książka i Wiedza” jest jeszcze szybsze. W marcu 1974 roku złożono do druku książkę Wiktora Osiatyńskiego „Przez Wembley do Monachium”. Druk jej ukończono w maju 1974 roku. Natomiast „Wielki finał” złożono do druku w listopadzie 1973 roku a druk ukończono w czerwcu 1974 roku.

Proszę mi wybaczyć te niemal księgarskie notatki, ale mają one dla mnie istotne znaczenie. „Wielki finał” jest bowiem dla mnie przynajmniej, nie „fair play” „Sportu i Turystyki”. Kibic, ciągle jeszcze pamiętający wydarzenia z Monachium 1974 kupi niechybnie książkę, na okładce której kilka pokręconych nog kopie piłkę. Kibic daruje Markowi Mannowi brzydotę obwoluty, daruje złej jakości zdjęcia, bo będzie chciał mieć pewien zasób danych o swojej drużynie, która sprawiła mu tyle radośnych niespodzianek. I dostanie do ręki edytor-ski bubel, wydany w nakładzie 20 tys. egzemplarzy, w cenie 29 zł za egzemplarz. Kibic nabierze się, bo będzie myślał, że sięga po wielki finał z lipca 1974 roku.

Ostatnio „Życie Literackie” w notatce „Piłka cenniejsza od złota...” poinformowało, ile to pi-

ędzy zarobili dziennikarze w RFN, którzy albo sami napisali i wydali książki o mistrzostwach świata, albo pomagali pisać znanymi piłkarzom. „Duże korzyści finansowe uzyskali wszyscy niemal znani sprawozdawcy sportowi” — pisał „Życie Literackie”. I zupełnie nie wiem, czy to dobrze czy źle. W końcu uzyskali je za swoją pracę, więc o co chodzi? Podejrzewam jednak, że gdyby nasi sprawozdawcy sportowi i dziennikarze, którzy byli na mistrzostwach świata chcieli również uzyskać choćby tylko skromne korzyści finansowe, to mieliby z tym poważne kłopoty. Wydawnictwo. Przykładem może być „Wielki finał”.

„Wielki finał” — wielka klapa. Edytorska.

BOGDA MADEJ



BANACHOWIE W HISPANII

Poprzednia wspólna książka Eli i Andrzeja Banachów, mówiąca o Japonii, wywołała gwałtowne ataki niektórych japończyków. Banachowie na pewno japończykami nie są i być może w ich „Czterech tygodniach w Japonii” znalazły się jakieś niesciśności. Rzecz jednak wygląda tak, że najcięższe uczeni specjalistami przedmiotowi posiadają absolutnie ścisłą wiedzę, lecz... nie

potrafią o swojej specjalności ciekawie napisać. Książka Banachów natomiast są po prostu pasjonujące bez względu na to czy pisze o Nikiforze, sztuce murzynskiej czy o modzie.

Nie wiem, jakie spory wzbudzi — i czy wzbudzi — nowa książka Banachów „Dziennik podróży po Hiszpanii”. Jest to podręcznik artystyczno-muzealny, a jak wiadomo, w tej dziedzinie jest co w Hiszpanii oglądać. Książka Banachów jest więc przede wszystkim świetną i prosto napisaną opowieścią o dziejach Hiszpanii, jej architekturze, malarstwie, sztuce w ogóle.

Jak wszystkie pozycje wchodzące w skład autorskiej serii „banachów” (bo tak je nazywano na rynku czytelników), książka jest wydana w pięknej szacie edytorskiej, zaopatrzone w dziesiątki ilustracji i reprodukcji. Z równą przyjemnością czyta się ją co i ogląda.

Eli i Andrzej Banachowie „Dziennik podróży po Hiszpanii”, Wyd. Literackie, cena 70 zł.

POMYSŁ

Książki Kazimierza Brandysa pisane są z maestrią, o czym wiedzą jego liczni czytelnicy. Podobnie pisarskim mistrzostwem jest „Pomysł” opowieść o piarzu żyjącym między strachem, odmową a udziałem — pełnym poczucia winy, a jednocześnie uwielbieniem się do tej winy. Jak napisał o tej książce Krzysztof Mitrak, stawia ona przed nami pytania ważne, doniosłe, pytania, o które odciera się współczesność nasz los. Na te pytania Brandys nie odpowiada wprost, bowiem — że prawdziwy pisarz przekształca odpowiedzi w pytania — a nie odwrotnie.

Kazimierz Brandys „Pomysł”, Wyd. PIW, cena 14 zł.

WIEŻA BABEL

Stanisław Głabiński, znany dziennikarz, wielokrotnie przebywał w Stanach Zjednoczonych, był przez parę lat korespondentem PAP przy ONZ. A zatem owa tytułowa „Wieża Babel” nad East River, czyli wysmukły wieżowiec ONZ, zna doskonale.

Ta właśnie znajomość obyczajów, metod pracy, szczegółów obyczajowych nawet pozwoliła Głabińskiemu nasyścić swoją książkę ogromną ilością obserwacji reporterskich. Ale książka nie jest reportażem. Jest to sensacyjno-polityczna powieść, której akcja rozgrywa się w ciągu dwu dni fikcyjnej wiosennej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, poświęconej rozpatrzeniu konwencji o zakazie broni chemicznej i bakteriologicznej.

Na te wielkie polityki federacja się tu działania różnych wykładów, ogniskując się wokół tajemniczej śmierci jednego z pracowników ONZ. Czyta się tę powieść o Wieży Babel — znakomicie. A że jest to pierwsza bodaj w Polsce powieść, której akcja rozgrywa się w tej egzotycznej dla nas, scenarii, powołanie na książkę Głabińskiego zapewne, święta lektura na lato, zwłaszcza, że obok wartkiej, sensacyjnej akcji przynosi dodatkowo ogrom wiedzy i informacji o „parlamentarystyce”.

Stanisław Głabiński „Wieża Babel nad East River”, Wyd. Książka i Wiedza, cena 26 zł.

HISTORIE SPOD KOPCA KRAKUSA

Książkę o Krakowie mamy sporo i wciąż ukazują się nowe, o co dba cennie swoje miasto Wydawnictwo Literackie. Niedawno ukazała się opasła książka — album Romana Kiełkowskiego „Historie spod kopca Krakusa”. Jest to w istocie cała historia Krakowa, zapożyczona w ponad 100 dokumentalnych fotografii, rycin, dokumentów i planów — począwszy od litografii Krakowa z 1839 roku, po zdjęcie Rynku z roku 1945. Dodatkowym walorem książki Kiełkowskiego jest obszerna bibliografia książek o Krakowie.

Autor szczególnie zajął się obecną dzielnicą, a dawnym miastem — Podgórzem, choć dziś na dobrą sprawę możemy mówić, że to przecież Kraków, albo raczej kwintesencja Krakowa. Książka jest znakomicie wydana — jak zawsze zresztą w Wydawnictwie Literackim i wnoszą zupełnie nowe informacje i wartości do ogromnej skarbnicy publikacji o grodzie Krakowa.

Roman Kiełkowski „Historie spod kopca Krakusa”, Wyd. Literackie, cena 35 zł.

DROZDOWSKI

Bohdan Drozdowski wstąpił do współczesnej poezji polskiej frontowymi drzwiami, pod patronatem Juliana Przybosa, totemem wierszy „Jest takie drzewo” w roku 1955. Był to rok znamienity dla ówczesnej poezji — rok, w którym Drozdowski, jak i wielu innych, znalazł się w szeregu znanymi. Świadomie sprzeciwiając się, eksponując sprawy dotąd skrywane — przykre nieraz i smutne.

Po latach zmienił się ton i charakter poezji Drozdowskiego, nabrała ona szerszych znaczeń, stała się głębsza i bardziej wyrafinowana. A jednak tamten pierwszy tom nie stracił po latach ze swojej siły, pasji i poezji.

Wybór wierszy Bohdana Drozdowskiego jest więc dokumentem jego poetyckiej drogi, choć autor zrezygnował z chronologii i przemieszczał wydawane w różnych latach w mi. Może lepiej byłoby zachować historyczną ciągłość, ale my, czytelnicy, nie musimy. To nie tylko wybór wierszy, ale i wybór poety. Skoro Drozdowski stawia na pierwszym miejscu swoje „Oktydysty olimpijskie” — widać tak jest jego wybór.

J. WIL.

Bohdan Drozdowski „Wybór”, Iskry, cena 40 zł.

MAŁY, STATYSTYCZNY

Recenzować rocznik statystyczny, jest równoznaczne porównaniu się z motyką na słońce, a jednak chciałoby zachęcić do tej lektury, jako że jest ona pożyteczna i może być interesująca. GUS dwa razy do roku — nie mówiąc o wielu wydawnictwach specjalistycznych i problemowych — dostarcza czytelnikom interesujących publikacji. W połowie roku ukazuje się „Mały rocznik statystyczny”, a pod koniec roku — „Rocznik statystyczny”. Publikacje te cieszą się dużym popitem, służą bowiem nie tylko pomocą, ale dla umiarkowanych czytelników statystyczne tabele, stanowią pasjonującą wręcz lekturę.

Obecnie GUS wydaje również szkolne edycje „MRS”, ukazujące się nakładem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, Decyzją Ministerstwa Oświaty i Wychowania zatwierdzono, „MRS” jako „książkę pomocniczą dla uczniów kl. VIII szkoły podstawowej oraz dla uczniów szkół średnich”. Jeśli więc rocznikami statystycznymi zaczyna się interesować uczniów, to już zupełnie nie wypada, aby nie stawiały one również lektur ludzi dorosłych i przez swoją doświadczone, powołanych niejako do tego typu lektury. Serdecznie zachęcam.

B. M.

Mały Rocznik Statystyczny, GUS — Warszawa — 1973, str. 372, cena 13 zł.

FILM

TWARZE

Nowej, zapowiadanej, polityce Centrali Wynajmu Filmów zawdzięczamy, iż nieomal tuż po niewątpliwym i wśród naszej publiczności sukcesie „Ojca chrzestnego” Coppola oglądamy jego włoską parodię czyli „DRUGĄ TWARZ OJCA CHRZESTNEGO” w reżyserii Franco Prosperiego. Wspomniawszy na wyżej nową politykę zakupów ma wprowadzać na polskie ekrany, w temple szybkiego anizeli to dotąd bywało, szlagiery światowego kina owe „lokomotywy”, o których pisał ongi Zygmunt Kałuzajski, ciągnące cały repertuar. Przyznam jednakże, jako dość pilny obserwator filmowego repertuaru, że „Kabaret”, „Odyseja kosmiczna” czy „Ojciec chrzestny” wnosy jeszcze nie czynią i efektów nowej koncepcji repertuarowej, wyznaczone, iż niezapewne dla mnie jasnej, jako że owa „szlagierowość” jest pojęciem dość płynnym, jeszcze zbyt wyraźnie nie widzę. Zwiększonej operatywności CWF miarą „Drugiej twarzy ojca chrzestnego” mierzyć bym jednak nie chciał, co nie zna-

czy, że zakupienie tego filmu tuż po sukcesie oryginału nie ma swistowego smaczku.

Jak informuje branżowa prasa, „Ojciec chrzestny” dotarłszy do Europy w 1972, już po pół roku miał na włoskich ekranach siedem konkurencyjnych filmów, co może nie tyś świadczy o sile jego artystycznych wpływów, co niezwykłej umiejętności dyskutowania przez Włochów jego sukcesu dla celów wielce komercyjnych. Informacje te nasuwają myśl, która umykała przy oglądaniu oryginału, iż jest „Ojciec chrzestny” cząstką narodowej legendy Włochów i był prawdopodobnie inaczej odbierany w ich ojczyźnie, aniżeli gdziekolwiek indziej. Ale powróćmy do spraw komercyjnych, bo przecież one stoją u źródeł inspiracji w Włoszech siły amerykańskiego „Ojca chrzestnego”. Tak więc w siódmej powstałych w jednym sezonie filmów, cztery — to również sensacyjne dramaty przynoszące obrazy mafii, podobne do tych, które przedstawili w oryginalnie Puzo i Coppola, trzy po-

zostałe — to parodie w stylu własnie „Drugiej twarzy ojca chrzestnego”.

Cóż o tym filmie powiedzieć? Jak to zwykle z parodią bywa, jej ewentualne uroki smakować mogą przede wszystkim ci, co znają oryginał. A że opowieść o nieszczytnym akcie przyprawki uwikłanym w gangsterskie porachunki' zbudowano na znajomości dzieł „prawdziwego” Don Vito, ci, którzy ich dotąd nie poznali, stracą połowę zabawy. Przypadek zaś trzeba, że scenariusz „Drugiej twarzy ojca chrzestnego” obfituje w pełne zrzęności pomysły. Drugim atutem filmu jest włoski komik kabaretowy pan Alighiero Noschese, który ucha- rakteryzowany na Marlona Brando dokonuje wielu parodystycznych cudów w podwójnej, a właściwie potrójnej, zwa- żyszy przybraną twarz, główną rolę w filmie. Jeśli zaś chodzi o grę mafijnych porachunków, to oryginał przyniósł ich tak wiele, że w parodii można było nieco je zmniejszyć. Kwitując tytuł filmu, można by zaryzykować stwierdzenie, że nie tyle „druga twarz” chodzi, co o zupełnie inną część ciała ojca chrzestnego, co stanowiło niewatliwy wkład „twórcy” autorów parodii. I to właściwie wszystko, o tym jednym z wakacyjnych filmów.

Tym, którzy ani w oryginal-

nałach gangsterskich, ani w ich parodiach zbyt nie gustują, pragnę zaproponować coś w zupełnie innej wakacyjnej tonacji.

Film „STARA PANNA” posiada wszystkie najlepsze cechy francuskiego espritu, co dla jego smakoszy jest tu gwarancją znakomitej rozrywki. Południowe morze, wakacje — jednym słowem Francuzi na urlopie, widziani żartobliwie i lirycznie. Wśród nich znakomita para Annie Girardot i Philippe Noiret. Nawet jako go- racza wielbicielka talentu i uroku Annie Girardot, muszę tym razem przyznać, że aktor- stwo Philippe'a Noiret w filmie tym wybiła się na plan pierwszy, co nie udało się nigdy dotąd żadnemu partnerowi tej wspaniałej aktorki.

„Stara panna” poza znakomitą obserwacją obyczajową nie- śmiała nie mały ładunek psychologicznej prawdy, co może nawet zaskakuje w tym filmie, zdawałoby się blado opowieści o ludziach na urlopie. „Stara panna” to wzruszający film o ludzkich marzeniach, o miłości, dobroci, czułości, niewzruszonej delikatny w tonacji, zrealizowany jak gdyby poza tym wszystkim, co ogląda się dziś w kinie.

EWA NURCZYŃSKA



Wszystko jest trucizną; nie nie jest trucizną; wszystko zależy od dawki — pisał Paracelsus (1493—1541), lekarz, alchemik, filozof.

Zakład stanął tu, na dworcu. Złożyli się dwaj faceti — pracownik rzeźni i maszyniarz i traktorzysta z POM-u. Złożyli się o to, który szybciej wypije pół litra „z kłóskiem”. Pili z butelek. Już przedtem nieco się podhaj- cowali i animusz w nich był iście sarmacki, praplastowski. Złożyli się o następne pół litra. Wygrał zakład traktorzysta o trzy litry, ale za to maszyniarz czyli pracownik rzeźni odkorkował. Przenosząc się na tamten świat u- niknął kosztów wynikających z faktu przegranej zakładu. Tak to jest — jeden może pół litra, drugi po pięćdziesiątce jest pozamia- nany w czterech litrach; nie można siośować jednej miary do wszyst- kich ludzi — co człowiek to inna skala, inna miara.

Opowiadał mi pewien jegomość, który wrócił był właśnie z Dalekiego Wschodu, między innymi z Kraju Kwitnącej Wiśni, że kiedy otwierano w Tokio wielką wystawę rysunków i grafik Pablo Picassa, tubyleza cenzura kazala zdjąć kilkunastu plansz uznając je za amoralne i wręcz pornograficzne. Cenzura na Zachodzie i Dalekim Wschodzie ma to do siebie, że musi być bardziej papierska niż sam papier. Pikanterii całego zdarzenia nadaje fakt, że o dwie przecznice od tójskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej, gdzie wystawiano Picassa sprzedaje się masowo wydawnictwa pornograficzne w pełnym wyborze ludzi wszelkie rekwizyty sztuki erotycznej.

Bohater książki Cohena, książd, paryżanin, mieszkający vis a vis domu publicznego, powiadał: — Z widoków, które obserwuję przez okna swego pokoju, nie należy wyłączać żadnych włosków.

Mimo wszystko Picasso jest bardziej moralny niż japońska cen- zura, nie mówiąc o tym, że japońska cenzura jest niedouczona i w związku z tym źle zorientowana w rodzinnych tradycjach. W japońskim malarstwie, w japońskiej grafice, w poezji i w teatrze japońskim pierwiastki erotyczne występują od bardzo dawna i były i zawsze bardzo wyraźne. Niejednokrotnie my, Europejczycy, mogliśmy obrazowanie owych pierwiastków uznać za ryzykowne.

Powróćmy jednak do okna.

Przez okno można zobaczyć bardzo wiele jeśli ma się stosowne predyspozycje intelektualne ludzie dostatecznie dużo wyobraźni — można się pukić o włoski.

Bohater powieści Cohena okazał się być człowiekiem nieśmiałym intelektualnie. Potwierdza to jego nieustanne krążenie wokół płó- cien Rubensa i wyraża niechęć do Giocondy i, gdy bawił w Londynie także do płócien J. M. W. Turnera. (Zamykam oczy i widzę „Wnetrze Petworth”, „Pożar Parlamentu” i „Ostatnią podróż Fighting Temeraire”).

Ala powróćmy do okna. Richard Harding Davis, korespondent wojenny, który obsługiwał szczie wojen, z okna pokoju hotelowego obserwował w czasie ostatniej wojny wkroczenie Niemców do Brukseli. Wankiewicz w „Wojnie” piórze” (czegoż to człowiek w podróży nie czytuje!) przytacza obszernie fragmenty jego korespondencji:

„Bruksela, Piątek 21 sierpnia, godzina druga po południu. Wkroczenie Niemców do Brukseli zatraciło ludzkie cechy. Zatrą- ciło od pierwszej chwili, kiedy trzej niemieccy cyklisty spyta- li o drogę na dworzec północny. Wraz z nim ułotniła się melodia ludzkiej egzystencji.

To, co nastąpiło potem, i co i teraz, po dwudziestu czterech go- dzinach ma miejsce, to nie są maszerujące ludzie, tylko sily przy- rody jak przypływ morski, jak lawina, jak powódź.

Byliśmy poruszani widokiem pierwszych wkraczających pułków. Po trzech godzinach obserwowania nieprzerwanego na chwilę przesuwania się stalowo-błękitnych kolumn — poczuliśmy zmę- czenie. Ale następnie, kiedy godzina po godzinie sily, nie przyno- sząc przerwy między oddziałami, nie przynosząc zatrzymywania się choćby na chwilę, mieliśmy wrażenie, że dzieje się coś niesamo- witego, coś nieludzkiego. Patrzyliśmy znowu zafascynowani tą tajemnicą i grozą, która przejmowała, kiedy ogarnia nas gęsta mgła, ciągnąca z oceanu.

Szarość mundurów wzmacniała nastrój mistycznej tajemnicy. Tyl- ko bardzo wystrzone spojrzenie mogłoby wytopić posród prze- pływających tysięcy jakąś najbliższą różnicę. To wszystko płynię jakby w niewidocznej zasłonie. Tylko po niezliczonych i ciągle ponawianych próbach patrzenia w różnych kierunkach, na różne dystanse, nastawiając oczy na kolory, których nie ma, można wre- cze uprzytomnić sobie, że jest to kolor szary. Kolor wybrany dla kamuflażu, kolor wybrany przez dowódców, które wyekska- sławność, nie nie zostawia przypadków, wypracowuje każdy szczegół.

Przywykłem do wielokolorowych mundurów i widzę, że ten szary kolor jest najsukutekniejszym pancerzem. Najlepszy strzelec się straci, nie widząc celu. To jest szarocieńszy kolor, nie błętno- zielony jakie nosily u nas wojska południowców. Jest szary szaro- ścią przedświata, szary szarością zmatowanej stali. Szary szaro- ścią mgły pomiędzy zielonymi drzewami.

Kiedy następnie armia przechodziła pod moimi oknami, pod drzewami ogrodu botanicznego, wtapiała się w liście, tałowala między nimi. To nie przesada, wcale, że o sto metrów widziałem konie, ale nie widziałem jeźdźców, którzy je dosiadali.

Wczoraj generał major von Jarotzky, gubernator wojskowy Brukseli, zapewniał prezydenta miasta Maxa, że armia niemiecka nie zajmie miast, tylko przez nie przejdzie. Otóż ciągle jeszcze prze- chodzi. Towarzyszyłem sześciu armiom w rozlicznych kampaniach, ale ani amerykańska, ani brytyjska, ani japońska, ani inne — nie dorównują Niemcom ekwipunkiem. Ciągną przez miasto tak gład- ko, tak pakownie jak Empire State Express. Żadnych zatrzymań, pustych miejsc, rozróżnień.

Ta armia jest już w polu trzy tygodnie i nie wydaje się, by dotąd urosła jedna podkowa, jeden rzemień od helmu. Razem z nią słońce dymiące kuchnie, a w odstępach godzinnych pojawia się wóz pocztowy od którego galopują wzdłuż kolumn jeźdźcy rozda- jąc listy.

Piechota maszeruje plątkami, po dwustu w kompanii. Kawaleria czworakami — ani jeden proporzycy mniej lub więcej. Przemarsz każdej jednostki artyleryjskiej trwa jedną godzinę i ani mniej ani więcej. Na każde działo z jaszczem i wózkami amunicyjnym wypada odmierzone 20 sekund.

Piechota śpiewa Vaterland. Każdy werset przedzielają trzy od- bity kroki. Po dwa tysiące ludzi śpiewa na jeden takt. Kiedy pieśń milnie, słychać rytmiczny krok podkutych butów, po czym pieśń podrywa się znowu. W idealnie rozmiernych odstępach idą orkiestry, które grają marsze. I za nimi znowu działa dudniące po bruku i dźwięki trab.

Przez siedem godzin szła armia w tak zwartych kolumnach, że ani razu nie udało się przemknąć dorożce czy tramwajowi. Jakby była się rzeka stali — szara i widmowa. Kiedy się ściemniało, ty- śące podków i podkutych butów szła dalej — od czasu do czasu skry im błyskały spod nóg ale ludzie, ale konie byli spowiel w ciemności.

O północy wciąż szli.

Rano o siódmej obudziły mnie orkiestry. Wyjrzałem, szara ma- sa płynęła dalej...

Wankiewicz pisze: „A więc z okna hotelu Davis zasygnalizował światu wstęp do wojny totalnej, atmosfery, która wylała się poza ramy soldatki i cały duży naród wciągnęła w pochody norym- berskie”.

Trucizna wlewała się w Europę szarą masą.

Dostaje wiele listów. Ostatnio dostaje ich szczególnie dużo. Pan Hideki Tojo z wyspy Mindanao pyta mnie, jakie kraje zwiedzi- lem w czasie swych licznych podróży. Szanowny panie Hideki Tojo, nie mogę Panu odpowiedzieć za jednym zamachem, bowiem zwiedziłem bardzo dużo. Odpowiadać więc będę Panu na raty. Dziś wyliczę Panu kraje na A, B, C i D. Które miałem szczęście odwiedzić. Serdecznie dziękuję Panu za życzenia pomyślności, które Pan raczył mi przesłać. Z koleji życzę Panu wszystkiego dobrego. Oto pierwsza część listy krajów, w których byłem:

Afganistan, Albania, Algieria, Arabia Saudyjska, Argentyna, Au- stralia, Barbados, Belgia, Bhutan, Birma, Boliwia, Botswana, Brazylia, Bułgaria, Burundi, Cehonia, Chile, Cypr, Czaad, Czechosłowacja, Dahomej, Dania, Dominikana.

Pani Jadwiga Sosnowska z Wałcza, prosi mnie o pełny tekst wiersza Cendrarsa „Ruina hiszpańska”.

Podaję go Panu w pełnym brzmieniu w tłumaczeniu Adama Wityka:

Nawa skonstruowana jest w stylu hiszpańskim osiemnastego

Wielu Włochów sklepienie jest białe od salety i nosi jeszcze ślady złocen Promienie latarni ukazują w kącie pokryty pleśnią obraz

Ta Czarna Matka Boska

Wysokie mechy i grzyby jadowicie przegowane kropkowane usiane perłami pokrywają posadzkę sanktuarium

Jest także dzwon z lacińskim napisem.

Pani Halina Potz z Łodzi pyta mnie o której odchodzą z Dwor- ca Fabrycznego pociągi do Warszawy. Podaje: 4.41 — 6.45 — 9.26 — 11.26 — 13.26 — 15.15 — 15.22 — 17.20 — 20.26 — 21.49 — 23.26.

Na pozostałe i następne listy odpowiem w kolejnych swoich re- lacjach z podróży i z dworca w Kuluszkach. Dziękuję wszystkim za życzenia przyjemnych podróży i za wszystkie inne życzenia.

GLOBTROTTER

P.S. Odcięta ręka, ręka urwana — była to dla Cendrarsa tru- cizna. Ale Cendrars nigdy nie zgodziłby się, aby ta ręka urwana powróciła kiedykolwiek do niego. Trucizna, która zatruwa i oży- wia...

Twórca musi mieć źródło, swoje źródło trucizny...

To moja gwiazda

Ma kształt reki

To moja ręka która weszła na niebo

Przez całą wojnę widziałem Oriana przez otwór strzelniczy

Kiedy zeppelin nadciągał, żeby bombardować Paryż przybywały

zawsze ze strony Oriana

Dziś mam go nad głową

Wielki maszt dziurawi dłoń tej reki, która na pewno clerpl

Jak sprawia mi cierpienie moja odcięta ręka przebiła włócznią

na zawsze

MAGAZYNEK

ZRĘCZNE, MAŁE PALUSZKI

Królem japońskich charakterystycznych filmów jest Asakura Kuasa, nawiąsłem mówiąc była gejsza. Zręcznymi paluszkami potrafi ona wykonać rzeczy prawie niemożliwe. Pewnego razu do charakterystycznej zgłosił się aktor z kwadratową głową. Pani Asaku tylko uśmiechnęła się nad kinomem. Szybko spłowiwała kany na głowie zdumionego aktora i wypolerowała ją tak, że błyszczała jak nowa. Od tego czasu koledzy nazywają aktora „kolo Go- lo” co po japońsku znaczy „wesoła kuleczka”.

PRZYSZŁOŚĆ A MOCZOPĘDNOŚĆ

Nasi naukowcy telewizyjno-filmowi przeprowadzili ostatnio doniosłe doświadczenie. Dzieci w wieku przedszkol-

nym podzielono na dwie grupy. Tylko jedna z grup oglądała program telewizyjny. Natomiast obie grupy siedziały na nocniczkach. Wynik był rewelacyjny. Nocniczkę dzieci

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

oglądających telewizję napelnili się znacznie szybciej. Wnioski z doświadczenia naukowcy wyciągną jednak po powtórzeniu tej samej próby, lecz tym razem z udziałem wojska.

APEL DO WCZASOWICZÓW

Prosimy wszystkie osoby, przebywające w pięknych zakątkach naszego kraju na służonym wypoczynku, by w razie napotkania węży morskiego, gryfa, jednorożca albo zwykłej strzygi natychmiast zameldowały o tym fakcie najbliższemu reżyserowi filmowemu. Reżyser dokona oględzin zwierzątka i orzeknie, czy może ono zagrać we współczesnym filmie fabularnym.

CZAS NA REŻYSERÓW

Rzemieślnicy z Syrakuz pod Paltotem skonstruowali na rynku swojego miasta zegar, który miał wybić godziny, wymienia nazwiska polskich Reżyserów Filmowych. Niestety, kilka głośnych nazwisk zostało pominiętych, gdyż doba ma tylko 24 godziny.

LIST z WARSZAWY ZAMEK, WILANÓW, „CHŁOPI”

Trzeba przyznać, że mimo kanikuły stolicy nie poddaje się lenistwu kulturalnemu. Przez miasto Syreny przeciągają rzesze turystów, słychać obcojęzyczny zgiełk, najwięcej oczywiście słynnym traktem królewskim: od Belwederu po Zamek. A na Zamku zapobiegliwy jego opiekun dyr. Lorentz wzytuje i dba, aby wszystko „grało” należycie. Warszawa cieszy się już widokiem wieżeczek bocznych, a zegar zamkowy, kiedy lodzianie będą czytać te słowa w „Odgłosach” z pewnością już będzie wskazywał godzinę. Stał na 11.15. Ta data znamionowała wówczas śmierć zamku, śmierć epoki, koniec wolności kraju. Teraz symbolizować będzie po wsze czasy początek życia w radości, pracy i spokoju. Kontynuacja tych emocji o odcieniu patriotycznym i żywym stała się już warszawska Trasa Łazienkowska, ale nie mam zamiaru jej piękna opisywać. Tym traktem trzeba się po prostu przejechać, aby nasycić oczy rozmachem i urodą miasta na miarę własnej wrażliwości i odczucia piękna. Naprawdę coraz bardziej cenię sobie Warszawę. Bo oto przybyła miasto nowa rozrywka kulturalna. — „Fontanny Wilanowskie”. Światło i dźwięk. Ma Paryż i Egipt swoją imprezę tego typu. Ma ją także Warszawa. Pałac króla Jana III Sobieskiego, jego letnia rezydencja z XVII wieku, zamienia się w całkowicie dwudziestowieczną zabawę, ale to ma swój wdzięk. Taka fuzyja dawnej architektury z nowoczesnością środków wyrazu pozwala na bogactwo przeżyć. Zapraszam mieszkańców Łodzi na „Światło i dźwięk” do Pałacu w Wilanowie. Jakkolwiek niełatwo jest o bilety, które niezmordowany i oddany sprawie dyrektor i kierownik artystyczny Stefan Sutkowski z Warszawskiej Opery Kameralnej usiłuje wyczarować w sposób magiczny.

Proszę sobie wyobrazić stare, kilkusetletnie drzewa, pamiętające króla Jana, gdy pod rączkę z ukochaną Marysią kłębili się w ich cieniu, się przechadzał, dziś oświetlone i rozświetlane blaskiem fontann, jak cały promieniący złotawą poświatą Pałac. Jest letnia, ciepła wieczerza wotkowa (tylko we wtorek bowiem odbywa się ta impreza), w programie — spacer gości przez przeszklone zaprojektowane dróżki wilanowskiego parku, chwila wytchnienia nad wodą i zwiedzanie sal pałacowych. Grupa, w której uczestniczą jest liczna: przedstawiciele sekcji Przemysłu Spożywczego (AWPG), których gościem w Polsce (będąc gośćmi gospodarzem, co owa lata) a dalej wycieczka turystów z Finlandii i indywidualni goście. Spotykam wśród zwiedzających reżysera Krzysztofa Zanussiiego, oprowadza swoich prywatnych gości, młodego Rosianina i Amerykanina Chupa Tavora, piosenkarza, który wystąpi w najnowszym filmie Zanussiiego.

Tłumaczkę sprawnie informują zebranych opowiadając dzieje Pałacu w Wilanowie. Miałe dziewczęta, opowiadają to czego się nauczyły, ale czy szczegółowy opis komnat królewskich interesuje tak naprawdę zagranicznych? Wydaje się, że byłby potrzebny jakiś skróty i bardzo ciekawie zredagowany komentarz z pewną anegdotką o królu polskim, Janie III, co to Turków

pod Wiedniem niechęć sprął, a i od damskiej alkozy nie stronił. Nic dziwnego, że co chwile któryś z gości chętniej pomyka wzrokiem do sypialni królewskiej, podziwiając szerokie łóż z baldachimem, niż gobeliny na Turkach zdobyte. A sympatyczne Finki dopływały się o listy do Marysi, która jak słyszała była „charming lady”. Mała przerwa w uroczym saloniku chińskim pozwoliła na zadziernięcie sympatycznych kontaktów towarzyskich. Po zwiedzeniu galerii obrazów, na zakończenie opery jednoaktowa Mozarta „Le Bastien et Bastienne”, dobra głosowo, w kostiumach z epoki i z cudownym, przemyślnym zespołem kameralnym, przebrany również w ko-

współbrzmiał z całością chóru pod kierunkiem Henryka Wojnarowskiego, zaś choreografia spoczywała w rękach samego Witolda Grucy. W premierowym spektaklu wystąpili w rolach: Hanka — Krystyna Jamroz, Jagny — Bożena Betley-Sieradzka, Dominikowa — B. Brun-Barańska, Jagustynki — Jadwiga Dzikówna, Boryny — Wł. Denysenko. Dyrygował Antoni Wicherek. Trudno powiedzieć czy „Chłopi” zrobią karierę w Teatrze Wielkim Warszawskim, choć sama muzyka jest ciekawa ze względu na różnorodność środków, od zwrotów melodycznych, utrzymanych w duchu ludowym aż po technikę aleatoryczną.



atium. Było miło, oklaski nagrodziły wykonawców szczerze. Tak więc pomyśl wykorzystania Pałacu w Wilanowie okazał się zresztą pomyślny i celowy. Przydałoby się tylko nieco więcej światła (nie odczuwamy chyba w Polsce trudności energetycznych), dla podświetlenia fontann oraz więcej dyktarek, z humorem. Impreza „Światło i dźwięk” kończy się ok. północy i w ciepłe wieczory odbywać się będzie w plenerze, w efektywnych partiach wilanowskiego parku. Jadąc tam, warto zwrócić uwagę na nowe osiedle Stegny, które wyrosło tuż przy alei Sobieskiego jak przysłowiowy grzyb po deszczu. Kulturalny świat stolicy skupił się, oczywiście w Teatrze Wielkim, gdzie wystawiono operę Witolda Rudzińskiego „Chłopi”. Po sztukach teatralnych i filmie, mamy oto i operę „Chłopi”, właściwie można by polemizować czy to jest sens stricte opery, nazwałabym ją raczej widowiskiem muzycznym. Libreto wg powieści Władysława Reymonta napisał dwajscy kołbisi: Krystyna Berwińska i Wanda Wróblewska, reżyserowała Danuta Baduszkowa, serdecznie dziękując wykonawcom. Brak arii, ale za to na wskroś nowoczesna muzyka pozostawia wrażenie, wychodzi się jednak z warszawskiej opery zupełnie w sposób nie rozspiewany wewnętrznie, a raczej z roziskrzonym okiem. Wielka to zasługa Zofii Wierchowicz (kostiumy) i dekoracji (Andrzej Sadowski). One to były pierwotnym walorem spektaklu. Obraz lipieckich pól, tak polskich, tak klarownych w rysunku wznuszał i zachwycał, jak łowickie pasiaki kobiet. Pięknie

Tak czy inaczej lato w Warszawie, choć chłodne i z rzadka tylko uśmiechające się słonecznie, nie jest wcale nieciekawe. Ktoś, kto pozostał w mieście, może sobie pojechać nad Zalew Zegrzyński, popływać na żaglówkach czy własnym jachtem, zjeść obiad na miejscu w Białobrzegach, gdzie zanotowaliśmy zupełnie uprzejmą i miłą obsługę kelnerską i smaczną kuchnię. Może pojechać na Stare Miasto, gdzie po drodze usłyszysz o „gęsto kawiarce”. W najbliższej, gdyż do północy otwartej „Telimienie” przy Krakowskim Przedmieściu, całkowicie podporządkowano się Zarządzeniu Ministra Zdrowia i wprowadzono zakaz palenia papierosów. Niepalące, a i niektórzy palący przyjęli to sensownie, zarządzenie z ulgą. Nikt przecież nie chce tuć się 10 dkg smoły, która to ilość wg wskaźników statystycznych przypada na płuca jednego palacza. Te wszystkie zawady i zawiłości — to też mikrotyta. Ale my ciągle jeszcze tak lekceważymy całkowicie realnie istniejące alergie nikotynowe. I na koniec Panie Redaktorze jeszcze jedna sprawa. Nie śpiemy się tak nieustannie. Karłowidzcy twierdzą: ciągły pośpiech szkodzi zdrowiu, unikamy stresów, rozwiązujemy konflikty. Warto o tym pamiętać choćby podczas urlopu. Poeta z Czarnolasu mawiał „szlachetne zdrowie”, my współcześni dodajemy „grunt to zdrowie i dobra rodzinka”. Żyjemy przeto dłużej i piękniej!

LUDMIŁA GUTKOWSKA

THOMAS WALKINS

DZIKI ZACHÓD



Fot: Archiwum

Noc. Przez głuchy las po błotnistej drodze wolno jechał samotny jeździec. Wiele mil pozostawił już za sobą. Był bardzo zmęczony i dlatego od czasu do czasu zapadał w drzemkę. Nagle jego koń drgnął i zatrzymał się.

— Stać! Ręce do góry!
Z leśnych ciemności wyszedł wosaty mężczyzna z dwoma coltami w dłoniach. O ucieczce nie było mowy. Można było jedynie zacisnąć zęby i poddać się. Grabieżca zabrał podróżnemu konia, pieniądze i odjechał. Z wielkim wysiłkiem poszkodowany dotarł do pobliskiego miasteczka. Napotkanego przechodnia spytał, gdzie mieszka sędzia.

— W tamtym domu — odparł zagadnięty — ale nie będzie mógł pan się z nim zobaczyć.
— Dlaczego?
— Ponieważ wczoraj wieczorem znaleziono go martwego. — Ach tak! Wobec tego proszę mnie zaprowadzić do mera. — To też niemożliwe.
— Niemożliwe?
— Mer został aresztowany.
— Naprawdę? Za co?
— Okazało się, że właśnie on zabił sędziego.

— To straszne! A czy mógłby mi pan pomóc w odnalezieniu szeryfa?
— Niestety.
— Czemu?
— Bo szeryf uciekł.
— Uciekł? A to z jakiego powodu?
— Związał drań, z żoną policjanta.
— No to proszę zaprowadzić mnie do tego policjanta. Czy jest w domu?
— Chyba powinien być...

Podróżny ruszył w stronę domu policjanta. Ale tam przedstawiciela władzy także nie było. Obszedł wszystkie kąty. Usiadł na chwilę, ale potem tknięty przeczuciem wyszedł przed dom. Obok była stajnia, której wrota były uchylone. Podróżny skierował się w tamtą stronę. Wszedł. Stał chwilę nasłuchując. Wreszcie czy jego przywykły do półmroku. Wtedy rozejrzał się dokoła i... zobaczył swojego konia! Obok stał wysoki wosaty mężczyzna w policyjnym mundurze z gwiazdą szeryfa na piersi i popatrzył na przybysza z uśmiechem karmil zdobycznego wierzchowca cukrem.

Podróżny wrzasnął przeraźliwie i gnany opętającym strachem zaczął uciekać co sił w nogach: policjant już wyciągnął kolta z kabury. Usłyszał jeszcze szatański śmiech, a po nim huknęły strzały...

Tłumaczył: Roman Gorzelski

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

U SZCZYTU POWODZENIA

Inicjatorami i założycielami Festiwalu w Opolu byli Jerzy Grygolonas i Mateusz Święciński. W czerwcu 1983 roku w Opolu i całej Polsce pojawiły się pierwsze „festiwalowe” plakaty.

Czułam się jak na wielkim festynie, gwar, szum i wszystkie skapane w słońcu. Raz po raz stawałam jak wryta, widząc siebie — wydawało mi się, że w mieście porzuciłam duże lustro. Ale nie, to chodziły moje sobowtóry — dziewczęta ubrane w spodnie i bluzeczki, z czarnymi i jasnymi włoskami i grzywką. Ja z kolei nauczyłam się już maskować. Na ulicę wychodziłam tylko w przebraniu tzn. w spodni, uczesana w „koński ogon” i w dużych, ciemnych okularach. Toteż mnie nie zauważał nikt, le za to co krok zaśmiewałam się wprost z ogromnie komicznych sytuacji. Oto idę ulicą, a po drugiej

stronie grupka ludzi otacza młodą dziewczynę, prosząc ją koniecznie o autograf. A ona? Broni się dzielnie tłumacząc, że wcale nie jest Karin Stanek, że to pomyłka — ale gdzież tam, nikt jej nie wierzył. Dziewczyna uciekała, pisała, a dziewczęta i chłopcy za nią.

Innym znów razem, tuż obok mnie, wyraźnie usłyszałam: „Popatrz, Karin Stanek”. No, myślę sobie, teraz ja będę miała przeprawdę. Już chciałam się bronić, kiedy spojrzałam w bok, obok mnie szła dziewczyna w warkoczach — to o niej była mowa. Uśmiechnęłam się do siebie i zadowolona ze swego przebrania, szłam spokojnie dalej. Lubiałam obserwować takie sytuacje, śmiałam się z nich czasem do łez. Uczestniczyłam nawet w walce o autograf — nie mogłam tylko odezwać się, bo mój charakterystyczny głos natychmiast mnie zdradzał i ludzie zaczynali przyglądać mi

się podejrzliwie. Wtedy spokojnie, wolniutko, wycofywałam się i znikalam.

Przed publicznością w amfiteatrze miałam wystąpić z dwiema piosenkami — „Chłopiec z gitarą” i „Autostop”. Piosenki te zostały napisane specjalnie dla mnie, były żywe, rytmiczne, czułam się w nich doskonale. Szczególnie „Chłopiec z gitarą” podobał mi się bardzo, już chociażby z uwagi na wspaniały tekst, pasujący jak ulał do mnie. Przybył mi wtedy jeszcze jeden przydomek — „dziewczyna z gitarą”. Szkoda tylko, że nie pozwolono mi na Festiwalu zaśpiewać pełnego tekstu. Na pewno nikt by się nie obraził. Zresztą i tak po jakimś czasie, na koncercie w Warszawie, gdzie byli obecni prawie wszyscy wymienieni w tekście, zaśpiewałam całość. Śmiali się, cieszyli i bardzo im się to podobało.

Ponieważ przypuszczam, że nie każdy zna ten tekst, więc pozwolę sobie przytoczyć tutaj zwrotkę, która wówczas została wycięta:

„Gdy mi się Breza oświadczy lub Dygat, To z góry im powiem, że zbędna fatyga, I nie nie wskóra sam Putrament, Choć znany mi z pism jego temperament. Gdy przez Waldorffa list przesłał Wodiczko, Nic z tego nie będzie, nie sponie mi liczo. Chyba, że każdy z tych panów by miał Gitarę i na niej grał!”

Reren: Breza z gitarą byłby dla mnie parą, Może mnie o rękę prosił choćby dziś! Dygat z gitarą byłby dla mnie parą, Miałby przy gołeniu łezkę jedną myśl! Ale Waldorff i Putrament Wielki by podnieśli lament I uciekli z Brezą za Spisową Bramę... Każdy z gitarą byłby dla mnie parą Niech piosenki dla mnie śpiewa Dla mnie gra... itd”

Już następnego dnia, spacerując ulicami Opoli, słyszałam młodych ludzi śpiewających



„Chłopca z gitarą” i co było dla mnie najkomiczniejsze, nasładowujących moją interpretację i taniec. To było naprawdę bardzo śmieszne, kiedy stawali na ulicy i tańczyli tak jak ja. Po Festiwalu oczywiście znów zwiększyła się ilość listów, które otrzymywałam od swoich wielbicieli. Któregoś dnia ze zdumieniem znalazłam w kopercie legitymację członkowską z nadrukiem — Klub „Ka-

rin”. Okazało się, że w Poznaniu przy ZZ ZMS MPK powstał Klub Muzyki Rytmicznej, który został nazwany moim imieniem. Otrzymałam honorową kartę wstępu. O ile wiem, klub istnieje do dziś.

Chciałabym koniecznie wspomnieć o olbrzymiej imprezie w lutym 1984 r. w Sali Kongresowej, kiedy to oglądałam znakomitą Marlenę Dietrich. Wzrost jej zrobił na mnie kolosalne wrażenie, nagle poczułam się w zupełnie innym świecie, potrafiła wprowadzić na salę cudowny, lekki nastrój. Jak śpiewa, to każdy z nas wie, dlatego nie będą o tym mówiła. Natomiast muszę podzielić się wrażeniami, które na mnie, jako na kobiecie, wywarł jej wspaniały strój. Piękny, puszysty, długi płaszcz i cudowna suknia, naszyta wspaniałymi, drogimi kamieniami i cekinami.

Opracował: A. KRYSZKIEWICZ